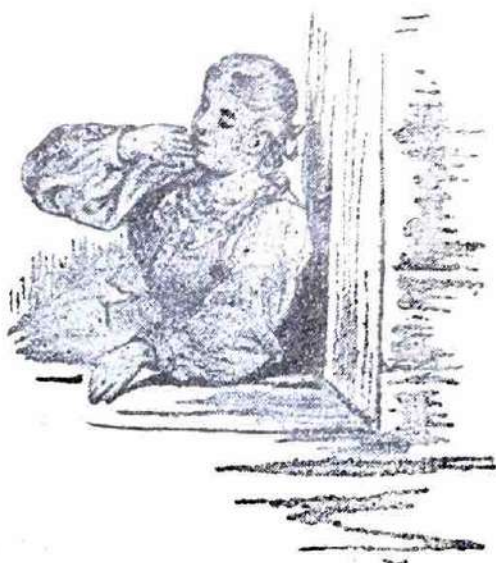


196

Naród sobie!

196

ZOFIA
KOWALSKA



BIAŁA RĘKA

Komedia w 2-ch aktach
z muzyką i tańcami

Muzyka FR. KONIORA.



Wydanie pierwsze.

Nakładem Księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu

Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego S.A. w Poznaniu

1939

OSOBY :

WOJCIECH — gospodarz

JAGNA — jego żona

BASIA — ich wychowanka

PIOTR — sędziwy starzec

MACIEJ }
PAWEŁ } gospodarze

BARTŁOMIEJ — ojciec Antka

ONUFRY — swat

ANTEK }
JASIEK } rywale

JĘDREK }
SZYMEK } chłopcy ze wsi
JÓZEK }

MARYSIA }
FRANIA } dziewczęta ze wsi
HANIA }

KATARZYNA — żona Pawła

TEKLA — żona Macieja

MUZYKANCI

Rzecz dzieje się w domu Wojciecha.

I. 540. 788/196



Odstona I-sza.

(Scena przedstawia wiejską izbę zamożnego gospodarza, schludną i czystą. Dwoje drzwi w głębi i z boku okno. Przy podniesieniu zasłony Basia poprawia doniczki z kwiatami, śpiewając smutnie:)

SCENA I.

Basia — Marysia.

Śpiew nr. 1.

B a s i a.

Ludzie mówią, że jestem szczęśliwa
I zazdroszczą mojej doli,
A nie wiedzą, jak mnie czasem
Mocno cośik w sercu boli.

Ach, Boże, Ty mój!

Ludzie mówią, że mi dobrze,
Bom urodna i bogata,
A nie wiedzą, że sieroctwa
Nie nagrodzą skarby świata.

Ach, Boże, Ty mój!

Samam jedna jest na świecie —
Nie mam tatka i matuli,
Chociaż dobrych ludzi wiele —
Nikt, jak matuś, nie przytuli.

Ach, Boże, Ty mój!

Cóż mi z tego, żem urodna,
Że mam rolę, chaty progi,
Kiej mi bronią kochać Jaśka,
Bo sierota i ubogi.

Ach, Boże, Ty mój!

Cieężko, cieężko...

M a r y s i a (ukazując się w oknie, przerywa).

A cóże ty, Baśka, tak zawodzisz?

B a s i a (drgnąwszy lekko).

Nie zawodzę, jeno śpiewam sobie tak...

M a r y s i a (pogardliwie).

Ładne mi śpiewanie! Narzekanie wej
takie jakieś jękliwe, że słuchać się nie chce.

B a s i a (smutnie).

Bo też ja ino dla siebie śpiewam... Ale
czemu stoisz za oknem? Chodź do izby!

M a r y s i a.

A nie będziesz tak jęczała?

B a s i a (jak wyżej).

Nie będę, — i gdybym wiedziała, że słuchasz, nie śpiewałabym wcale.

M a r y s i a (wchodząc do izby).

Toś taka zazdrosna o piosenkę?

B a s i a (ze zdumieniem).

A bo to była piosenka jaka? Tak mi się samo cosik z pod serca wyrwało.

M a r y s i a (zniecierpliwiona).

Tobie się tam zawsze cosik z pod serca wyrywa i wyrywa, jakby w tobie młodości, ani krasy nie było. Cięgiem jesteś, jak zmokła kura.

B a s i a (zawsze smutno).

Cóż ja pocznę na to? Smutek od koły-ski družką mi jest... Kędy nie pójdę, na co nie spojrzę — przypomina mi się ciągiem sieroctwo moje, staje w oczach, jak żywe i płakałabym ino bez końca.

M a r y s i a.

Ady nie opowiadaj byle czego! Małom to cię razy widziała, jakżeś na wieczoryn-

kach, abo muzyce w gromadzie — śmiała się i weseliła?

B a s i a.

To prawda, Maryś, ale to było tak po wierzchu, bo w gromadzie, jak to mówią: „kiej kto wliwie między wrony“...

M a r y s i a (z wybuchem).

To ty ino taka wrona między nami!

B a s i a (ciszej i smutniej jeszcze).

Może to i prawda, bom sierota... (ociera łzy ukradkiem)

M a r y s i a (z nagłą skruchą, obejmując ją).

Daruj, Basinek, ja ci tego nie wypominam przecie... Ja wiem, jak to smutno i dlatego tak mówię, abyś była inna, aby ci lżej i radośniej było na świecie.

B a s i a (ze smutnym uśmiechem).

Nie wiem, Maryś, czy mnie to sądzone... Ale będzie, co Bóg da, On ojcem sierot!

M a r y s i a (wesół).

O! widzisz? Takie gadanie to lubię! Bacz na to zawsze, to ci już nie będę wy-

dziwiał, że smętkujesz i mazgaisz się. Bo, powiedz sama — co to pomoże?

B a s i a.

A nie, wiem o tem, ale widzisz tak ciężko czasem na sercu, tak ciężko...

M a r y s i a (zuchowato).

E!... Co tam ciężko! — Weź się ino ostro za siebie, to te mazgajstwa uciekną, gdzie pieprz rośnie!

B a s i a.

Łatwo ci mówić, kiej nie czujesz, co to jest sieroctwo.

M a r y s i a (znowu niecierpliwie).

Znowu zaczynasz... Dokoła Wojtek i dokoła Wojtek! Cóż ty sobie myślisz, że jednaś na świecie taka nieszczęśliwa? — Drugie ludzie w gorszej jeszcze niedoli żyją, a nie jęczą tak, jak ty, płaczko!... Ale co ci ta — gadać, języka ino szkoda i już!

B a s i a (z wyrzutem).

To tobie niewarto mówić, mówić, co boli, bo ino wyśmiewasz się i dokuczasz mi.

M a r y s i a (po chwili z żalem).

To wszystko z miłości, Basiu. Czy ty tego nie czujesz?

B a s i a.

Ja z miłości kochałabym ino, a nie raniła.

M a r y s i a (ze zdumieniem).

To ja cię ranie? Co ty wygadujesz? Przecie sam Bóg widzi, jak cię lubię i kocham. (z wyrzutem) Oj, Baśka, źle mnie widzisz. Prawda, że czasem palnę głupstwo, ale przecie mnie znasz i nie powinnaś tak krzywdzić. (całuje ją) Przepróś mnie, no? A ja ci się za swoje dokuczania — odsłużę na weselu, zgoda? (chwytając się za głowę) Oj! oj!! Byłabym zapomniała ino, jak powiedziałam „na weselu“ przypomniało mi się!

B a s i a.

Co?

M a r y s i a (zagadkowo).

A to, że pewnikiem już rychło to weselo będzie.

B a s i a (zdumiona).

Czyje? — moje?

M a r y s i a (niby zgryźliwie).

Juści, że nie moje, bom ja nie bogaczka; do mnie młynarskich swatów nie przysyłają.

B a s i a (marszcząc czoło).

Co ci się roi? Jakich swatów?

M a r y s i a (zła).

Z dębuś zleciała, czy głupigo stroisz? Wróble o tem na dachach ćwirkają, a ta robi oczy, jakby o niczem nie wiedziała. Wstydź się tak udawać!

B a s i a (z trwogą).

Maryśka, jak mi Bóg miły, nie wiem o niczem!

M a r y s i a (z niedowierzaniem).

Ejże... naprawdę?

B a s i a (uderzając się w piersi).

Żebym się stąd nie ruszyła, jak mówię prawdę!

M a r y s i a (myśląc chwilę).

Hm... to pewnikiem bez ciebie wszystko uradzili, a ty znowu taka guła, że ni-

czego nie pojmujesz, chocia o twoją skórę chodzi.

B a s i a (przez łyzy).

Gadajże już raz, czego nie pojmuję? Zlituj się!

M a r y s i a.

Tego, że Antek Krupa chce się z tobą żenić. Gadał już z twojemi opiekunami, bardzo temu radzi i kazali mu przyjść dziś ze swatem na umowę.

B a s i a (przerażona).

Boże! kazali?... dziś? To nieprawda!

M a r y s i a.

Jakto nieprawda? Kiej Antek chodził rano do tego oczajduszy Onufra, aby go zamówić na swacha a tera u niego już siedzi i wybierają się przyjść dotąd. Ale wyśwircowali ci się, jak na galę jaką. Nawet Onufer obuł te koślawe, lakierowane buciska i krawat zawiązał do koszuli, ten czerwony, co na Wielkanoc. Widać, mu Antek dobrze posmarował łapę, kiej się tak wyparadował.

B a s i a (postępując ku Marysi).

Nie! Maryś! ty kpisz ze mnie! Ty mnie ino... Mów!...

M a r y s i a (obrażona).

Nu patrzta wej, ludzie, ona jeszcze nie wierzy. Kiejś taka, ani słowa już nie rzeknę. Pytaj się kogo chcesz, nawet samygo Antka, abo Onufra, idę sobie do chałupy!
(zawraca się)

B a s i a (pada na ławę, wybuchając płaczem).

O ja nieszczęśliwa!

M a r y s i a (zatrzymując się).

Co ty znowu wyprawiasz!? Nie chcesz go czy co?

B a s i a (zrywając się gwałtownie).

A niechcę! niechcę! i kiej się tu pokaże, wyżenę go het razem z tym obrzydłym dudą!

M a r y s i a (zadowolona, do siebie).

Oho, stawia się, to dobrze, ma swój rozum. (głośno) A to go sobie wyżeń, co mnie ta obchodzi? Powiem ci ino, że ni masz się



czego tak indyczyć, bo to nie żaden wyskrobek, ale pan całą gębą i...

B a s i a (przerywając).

Ordynus! gbur! a nie pan!

M a r y s i a (ciągnie dalej).

...dwadzieścia morgów, młyn jak się patrzy, chałupa jak dwór...

B a s i a (jak wyżej).

Kichnę na to, mam swoją!

M a r y s i a (jak wyżej).

...dostatek, czeladź, a co ważniejsze — kabza wypchana złotówkami, to fortuna nielada.

B a s i a (z gniewem).

Niech się z nią ożeni, abo udławi nią!

M a r y s i a (spokojnie dalej).

Na ostatek i on sam nie byle co. Że jąkała trochę, to głupstwo, jęzorem ludziom nie świeci, ale jak się wystroi w niedzielę do kościoła, abo na muzykę, to niczego chłop. A jak se jeszcze podpije na ochotę i potrząśnie kieszenią — to żaden chłopak

mu nie obstoi. Oho! żeby ino palicem kiwnął, każda by się za niego wydała!

B a s i a (jak wyżej).

Niech się wydają, choćby wszystkie naraz, kiej im smakuje ta jego głupota i ochota, co ją ma ino z butelki. Ja go nie chcę i nie wezmę, bo prostak jest, wstrętny dla mnie i już!

M a r y s i a (przeciągle).

Taaak? — No, no, żebyś ino nie żałowała i szukając ziarnka — plewy nie zła-pała.

B a s i a (z pewnością).

O! nie głupiam na tyle. Serce mi po-wi, kogo mam wybrać!

M a r y s i a.

Serce oczu nie ma.

B a s i a (jak wyżej).

Ale ma czucie i wi kogo umiłować!

M a r y s i a (złośliwie drwiąco).

Acha! pewnikiem Jaśka sierotę od ko-wala, co?



B a s i a (prostując się — śmiało).

A Jaśka, kiej chcesz wiedzieć! Właśnie, że Jaśka umiłowało i jemu ino będzie wierne!

M a r y s i a (z politowaniem).

Oj! Głupiaś ty, głupia... Myślisz, że opiekunowie dadzą cię za takiego gołęca i przybędę, kajś z końca świata?

B a s i a (stanowczo).

Nie dadzą — to sama pójdę, choćby mi nie wiem jak bronili, — abo umrę. — Biedny, to prawda, ale uczciwy, pracowity i dobry, a takiemu Pan Bóg pobłogosławi. Zresztą, to, co mam, starczy na nas dwoje... Może nie? Czego się śmiejesz?

M a r y s i a (rzucając jej się na szyję).

Z radości, żeś mądra, zuch dziewczyna i kochasz Jaśka! On wart tego i dochowaj mu tej wiary!

B a s i a (osłupiała).

Jakto?... To ty ino...

M a r y s i a (wpadając jej w słowa).

— ...Tak gadałam ino, aby się przeko-
nać, czy wytrwasz i kiej tak — zmykam
już, bo bidny Jasiek, pewnikiem tam za
oknem, ledwie wytrzymać może z ochoty,
aby ci podziękować. Do widzenia! (znika)

B a s i a (oszołomiona).

Co ona?...

SCENA II.

Basia — Jaśko.

J a ś k o

(ukazuje się w oknie i głosem pełnym radości i szczęścia
mówi półgłosem, wyciągając ręce).

Basiu!... Basiu moja złota! Czym ja
wart?...

B a s i a (podbiegając do okna).

Jasiu kochany! nie teraz, nie dziś...
Uciekaj, na miły Bóg, bo lada chwila
przyńdą tu swaty, opiekunowie, i jakby cię
zobaczyli, to nieszczęście by jakie być mo-
gło...

J a ś k o (z uniesieniem).

Co mnie tam starzy, abo swaty! Niech przyjdą, ja przed całym światem będę krzyczał, żeś ty moja, Basiu, że mi cię nikt wydrzeć nie zdoła, bo kochasz mnie! Prawda? Powtórz, słonko ty moje...

B a s i a.

Jako duszę własną, ale dlatego idź już, ja nie chcę twej krzywdy, uciekaj!... mój...

J a ś k o (jak wyżej).

O, moje kochanie największe! pójdę, idę, kiej chcesz, ino daj mi wpierrw rączkę, niech ci choć podziękuję... Słyszałem wszystko i takim szczęśliwy, że nogi bym ci całował a z radości pod niebo bym skakał, śmiał się, płakał... i nie wiem już co... Czy wierzysz mi? (całuje jej rękę)

B a s i a (przesuwając mu rękę po głowie).

Wierzę, Jasiu mój, i wiedziałam o tem od razu, jakeś ino pierwszy raz na mnie spojrzał i zagadał. Polubiłam cie tyż niedługo i powiedziałam sobie, że ciebie wezmę za męża, boś taki pocziwy, dobry i pobożny, a...

J a ś k o (kończy).

A przez ciebie, Basieńko, i przez te kochanie jeszcze lepszy będę! (błagalnie) Ino nie myśl czasem, że to ja tak z tobą dla majątku. Sam Pan Jezus widzi, że chciałbym, abys była, jako ja, biedna, prędzej bym cię miał.

B a s i a (poważnie).

I tak będę twoją, nie kłopotuj się. Pan Jezus to sprawi, bo nasza miłość taka jest, jak przykazanie Boże uczy...(słychać kroki) Słyszysz!? Ktoś idzie... Uciekaj!

J a ś k o (cofając się).

Do widzenia, Basieńko! bo ja tu jeszcze zajrzę po wszystkim. Czekaaj. (znika — Basia kreśli znak krzyża św. za nim i z twarzą udręczoną, smutną zwraca się ku drzwiom)

SCENA III.

Basia — Jagna.

J a g n a (wchodząc).

Gdzieś ty się, Baśko, zapodziała!? Chodzę, szukam, wołam, a ta się ani odezwie.

B a s i a (cicho).

Przecie jestem.

J a g n a (powtarzając).

Przecie jestem. Co tak ledwie bąkasz
przelekłaś się mnie, czy co?

B a s i a.

A bo ciocia tak mówi, jakby się co
stało.

J a g n a (zagadkowo).

Stało, nie stało, ale się stać może. We
się ino, dziecko, ogarnij trochę, bo będzie
ma mieli gości.

B a s i a (niby zdumiona).

Gości? Jakich?

J a g n a (z dumą).

Znacznych, znacznych, Basiu, i myślę
że będziesz im rada, ho, ho!

B a s i a (smutnie).

Skądże wiecie, że będę im rada?...
A może ja właśnie nie będę ich chciała
widzieć i przyjąć...

J a g n a (uśmiechając się z niedowierzaniem).

Nie będziesz chciała przyjąć swatów?

B a s i a.

Abo to swaty — to takie wielkie co?
Zresztą zależy jak czyje.

J a g n a (biorąc się w boki).

Antka, moja panno! Antka Krupy,
najbogatszego gospodarza i młynarza ze
wsi, co tam ze wsi — z całej okolicy!

B a s i a (obojętnie).

Nie obchodzi mnie to nic, ani on, ani
jego bogactwo, choćby miał je sto razy
większe.

J a g n a (śmiejąc się).

Nie obchodzi ją... ha, ha, ha, Nie pleć
byle czego, głupia. Znam ja się na tem,
każdą niby to nie obchodzi, a w duszy rada,
że ino, ino!

B a s i a (z rozdrażnieniem).

Może drugie tak robią, jam nie taka,
bo dla mnie bogactwo — to uczciwe i do-
bre serce!

J a g n a (marszcząc się).

A cóże to on? łajdak jaki, bez serca!
Widać, że je ma niemałe, bo za tobą pon
się ledwie nie skreći i porządnie śle swaty.

B a s i a (spokojnie ale stanowczo).

Śle, ale napróżno, ciotko, bo go nie we
zmę. (przez łzy) Taki pijus, pokraka, bełgot..
Nie cierpię go!

J a g n a (ostro).

Nie strój dasów, głupia! Po prawdzie
nie wyszczekany on i nie taki gładki na
gębie, ale bogacz, słyszysz!? Nie lubisz go
teraz, to polubisz potem, jak oboczysz, że
ci dobrze. Mało takich żeniacek się dzieje?
wszystkie takie prawie. (łagodniej, głaszcząc ją
pod brodę) Nie bój się, nie, Basiu, i idź
przystrój się, a pięknie, bo ino ich patrzeć.

B a s i a (ocierając oczy).

Dobrze, ciociu, pójdę, ale przymusu
sobie dawać nie myślę i powiem im prosto,
że napróżno przyšli. (wychodzi)

SCENA IV.

J a g n a (sama).

A to ci smarkula dopiro!... Zglupiała, czy co? — Takie to zawsze ciche, potulne było, a tu masz!... Ha, może jej inny łeb zawrócił? (wygraża) No!... dałabym mu...

SCENA V.

J a g n a — W o j c i e c h.

W o j c i e c h (wchodząc).

Co ty, stara?... Komu tak wygrożesz?

J a g n a (opadając na ławę i załamując ręce).

Ady wystaw sobie, stary. — Baśka humory pokazuje! Powiedziała mi co ino, że nie chce Antka i swaty odprawi z niczem!

W o j c i e c h (lekceważąco).

Koszałki, opałki... Takie ciele zawsze dło tego? Boczy się, jak każda i tyle!

J a g n a.

Ciele, ale jak się nie uprze; znam ja ją i pewnikiem to zrobi.

Wojciech (stanowczo).

Zrobi, ale to co? — ja każę i basta
Z gęby cholewy nie robie, co powiedziałem
— to święte.

Jagna.

Ale pobeczła się, że go nie cierpi i wy-
dziwiała, że łajdus i pijus.

Wojciech (groźnie).

Niech się ino nie stawia tak, bo wiem
najlepiej kogo wybrać. Jamorów pewnie
się zachciwo smarkatej, ale odechce się jej
kiej zasmakuje, co to być taką panią.

Jagna (z rozwagą).

Wiadomo, ale przecie kijem jej nie
zmusisz. Na wsi inoby zagrało, że krzyw-
dzim sierotę.

Wojciech (spokojnie).

Kijem, nie kijem — przyjdzie czas, bę-
dzie rada. Nie bój się!

Jagna (wstając).

Nu, to nima o czem gadać, bo i czasu
mało. Odziej się, stary, teraz przystojnie,
przyszykuj gąsiorek malinówki, a ja zakrzę-

tnę się koło kuchni i tyż ogarnę trochę.
Trza wystąpić okazale; niech widzą, że my
nie gorsi. Dali — chodźma! (wychodzą)

SCENA VI.

(Po chwili słyhać pukanie. Onufry wchodzi, oglądając się.)

Onufry — Antek.

A n t e k (wchodząc).

Za.. za.. za.. zawczas przyślim. Pe.. pe..
pewno u roboty są jeszcze.

O n u f r y.

Nie nie szkodzi, mój Antoni. Ponieważ
ja się wszędzie czuję jak u siebie, zastąpię
ci gospodarza. (robi ruch zapraszający) Witam
cię! proszę. (wskazuje mu krzesło)

A n t e k (zbliża się do krzesła
niezręcznie, przysuwa je sobie nogą, siada, wyciągając
i rozkładając nogi). Bóg zapłać!

O n u f r y (pouczająco).

Ale, mój Antoni, nie mówi się „Bóg za-
płać“, jak cham, tylko „dziękuję“!

A n t e k (kiwając głową).

Dzie.. dzie.. dziękuję! (rzuca czapkę na stół, zuchowato, zapala papierosa i strzyka ślinę w bok, potem drapie się w głowę). Tam na.. na.. na diabła to wszystko, psiakręć!

O n u f r y.

Co na diabła?

A n t e k.

A to.. to.. mał.. małpowanie! Czy jo i bez tego nie pon..? Co.. co.. co mi wadzi? Hm!?

O n u f r y.

Ależ naturalnie, naturalnie! Wcale nie zaprzeczam, tylko, mój Antoni, (kładzie mu rękę na ramieniu) jeżeli masz ten zaszczyt, że (pokazując na siebie) najinteligentniejsza osoba i znająca się na wszystkim — ma prosić o rękę twojej przyszłej małżonki, to powinienes się do niej stosować i rozumieć, że panna to jest... (namyśla się i uderza w czoło po chwili) Mam już! Widzisz, panna jest, jak nie przymierzając piskorz, co gotowa wyśliznąć ci się z ręki, choć ją trzymasz i ślinkę na nią lypasz... Trzeba więc łapać ją na taką wędkę,

aby dostała ci się pół żywa, to jest uległa, pokorna i posłuszna, rozumiesz? A taką wędka jest pochlebne słówko, miły uśmiech, słodziutkie pocałowanie w rączkę, no, co najważniejsze — przygnać ją swym rozumem i wyglądem.

A n t e k (z rozdziawioną gębą słuchając — potem).

To.. to.. to niby mo znaczyć, żem jo fuja.. ja.. jara i cap, co!?

O n u f r y.

Et, znowu się unosisz... Tego nie twierdzę, ale nie wymawiając ci, pięknoscią nie grzeszysz, zatem powinienes tem bardziej dbać o to, by jedno pokryć drugim.

A n t e k (pogardliwie).

Mum wej w no.. no.. nosie takie gadanie! Mó.. mó.. ój majątek za wszystko obstoi!

O n u f r y.

To ważne, ważne, nie zaprzeczam, a nawet przyznaje, ale — widzisz — panna do ślubu z majątkiem nie stanie, tylko z tobą.

A n t e k.

To i co!?

O n u f r y.

A to, młodzieńcze, że jeśli nie będziesz jej miły, to ci się nawet cmoknąć nie da, nie mówiąc o czem innem.

A n t e k (z przechwałką).

He, he! Niech i.. i.. ino mi się do.. do.. dostanie, to sobie z nią poradzę, — oboczy-cie!

O n u f r y.

Nie tak to łatwo, mój kochasiu; zwieje ci i tyle jej będziesz miał. (pokazuje figę) Ale mniejsza z tem, jak sobie będziesz z nią radził, — chodzi o to, by cię pierwszej wzięła. O to się staraj teraz i...

A n t e k (przerywając).

To.. to.. ty się staraj! Na tom cię wziął i sto złotych doł. Mosh lepszy łeb odemnie na takie rzeczy.

O n u f r y (z pychą).

To się wie, że takiego, jak ja, ze świecą nie znajdziesz. Ale zrozumże, do licha, że przecie nie ja się o nią staram, ale ty i że jak będziesz jej tak okazywał swoją skłon-

ność, to ci da takiego kosza, że się z niego nie wygrajdasz!

A n t e k (ze złością).

To.. to.. to jakże, do diabła, mam ji to po.. po.. pokazać, że ją chcę!?

O n u f r y (z rozpaczą).

Człowieku! ty, się pytasz!? Przecież cię od dawna ćwiczył i wbijał w mózgowicę, że trzeba być żywszym, pochlebnym, nadskakującym, układnym, a nie takim gapą, siedzącym z rozdziawioną gębą, jak teraz!

A n t e k (jak wyżej).

Widzita go! z roz.. dzia.. dzia.. dziawioną gębą... To mi ją poprow!

O n u f r y (tłumacząc).

Przecie chcę, męcę się, ucę, aż tchu brak, ale co zrobię, jak ty zawsze patrzysz, jak rura i nic nie pojmujesz!?

A n t e k (spluwając).

Tfu! Bodajeś pękł z ta... ta... takim uczeniem. Py.. py.. pytluje ozorem i przysmrodzo moi urodzie, a sum po.. po.. pokranka wej tako, psiakręć!

O n u f r y (z obrazą).

Przepraszam cię! tu nie ma porównania, bo ja i ty — to niebo i ziemia!

A n t e k (szyderczo).

A to.. to.. to jak ?— Godoj!

· SCENA VII.

Onufry — Antek.

O n u f r y.

Widzisz, nawet tego nie odróżniasz, więc słuchaj uważnie: Po pierwsze ty jesteś młodziak, młokos — mówiąc jeszcze jaśniej — gołowąs i mleczak, a ja człowiek, dojrzały i stateczny; po drugie — ty wiesz tylko to, co u ciebie w młynie słyhać, a to tyle co nic, — ja, bracie, z niejednego pieca chleb jadłem, znam świat i ludzi, a bratałem się z takimi, jakich ty nawet na obrazkach nie widziałeś, bo o książce i o gazecie nie masz pojęcia; po trzecie...

A n t e k (z pogardą).

Hy, hy, hy! Po... po trzecie jesteś go... go... goły jak glista, a jo... jo... jo pon całą gambą!

O n u f r y (z wyższością).

Bo zamiast tu, (pokazując na kieszonkę) mam tu!
(uderza się w czoło) i poważanie ogólne oraz
wzięcie u ludzi.

A n t e k.

Hy, hy, hy! ale nie u dziewczuch, bo cię
pa.. pa.. palicami wytykają i wyśmiwają po
kątach.

O n u f r y.

To z zazdrości i złości, że żadnej nie
chcę.

A n t e k.

Bo... bo... boby cię i sucho drapaka nie
chciała!

O n u f r y (stojąc przed nim).

Tak myślisz? A powiedz no mi, która
tu dla mnie, co? No, która!? — Aaa! zba-
raniałeś, jak kiep i języka w gębie zapom-
niałeś. (klepiąc go po ramieniu) Nie trzeba było
zaczynać ze mną. Porwałeś się, bratku, jak
z motyką na słońce i wyciągnąłeś łapki. Za
karę daj cygaro i idź na poszukiwanie swej
bogdanki, bo coś za długo tu sami siedzimy.
(bierze cygaro, popychając Antka ku drzwiom)

A n t e k (opierając się).

To ty idź, jo.. jo.. nie chcę!

O n u f r y.

A ja nie mogę, safandulo, bo muszę ułożyć sobie plan działania i obrobić go ze starymi. (popychając go) No, jazda! Już cię niema! (zamyka za nim drzwi, śmiejąc się) Ha, ha, Ciekawym, jak ten dureń poradzi sobie „solo“ z tą dzierlatką. (zapalając cygaro) Ale też wół z niego, niczem osioł dardanelski — (przechadza się) Nie wiem po co takie cymbały żyją na świecie? (zatrzymując się) Ha, ha! ha! Chyba poto, aby tacy artyści jak ja — grali na nich po mistrzowsku, wybębniali pieniążki i raczyli się za darmo wódeczką, od której człowiekowi świat się śmieje, jak dziewczucha na odpuszcie. — (chodzi znowu) Dawno już tak nie używałem! Przez cały tydzień wlewałem ile wlało, dziś w dodatku wpłynęła mi okrągła stówka do kieszeni. (zatrzymuje się) I to powiadają, że dziś talent nie popłaca! Głupstwo! Trzeba tylko mieć psi węch i wyczuwać słabe struny upodobań ludzkich, a nie masz jak być grajkiem! (śpiewa z odpowiednimi ruchami i wyrazem twarzy)

Śpiew nr. 2.

Hej! niemasz to, ach! niemasz
Jak takim grajkiem być,
Co umie z cymbałami
W komitywie żyć.
Trud jego bez znaczenia,
A za to wielki spryt,
Dający lekki żywot
I wygodny byt.

Na cymbałach, na cymbałach,
na cymbałach tylko grać.
Przez cymbałów, od cymbałów
okrągłutkie stówki brać!

Ludziska trwonią siły
Na czarny, suchy chleb —
Mnie darmo i z napitkiem
Daje cymbał-kiep.
Bo dziś takiemu tylko
Najlepiej w życiu jest,
Co umie dużo gadać
I mieć szumny gest.

Na cymbałach, na cymbałach,
na cymbałach i t. d.

Jam dawno to zrozumiał
I na cymbałach gram,
Przeto różowy humor
I pieniążki mam,
A pamiętając o tem,
Że życie krótko trwa —

Używam na cymbałach
Jak się tylko da!

Na cymbałach, na cymbałach,
na cymbałach i t. d.

A jeśli, jak to mówią,
Plunie mi który w pysk —
Przyjmuję to spokojnie,
Bo tem większy zysk.
I wszystkie grubijaństwa
Tłumaczę sobie tak,
Że przecie cymbałowi
Wychowania brak.

Na cymbałach, na cymbałach,
na cymbałach i t. d.

Niech żyją więc cymbały!
Pocziwych osłów ród,
By tacy, jak ja, mieli
Używania w bród.
Wszak nie jest nic zdrożnego
I tak już musi być,
Że człowiek musi człekiem,
Jak ryba — rybą żyć!

Na cymbałach....
(mówi chodząc) i t. d.

Ale coś do licha za długo tu świecą
pustki, a apetyt djablo się zaostrza do ko-
lacyjki zaręczynowej, która pachnie zaw-
czasu gąsiorkiem starych. (młaszeząc językiem

łakomie) Musze się sam zabrać do tego instrumentu i wydobyć z niego pożądany i obiecujący ton — to jest ciotkę Jagnę. Inaczej... (zbliża się do drzwi, wykrzykując) Bra-wo, mistrzu! ton już płynie!

SCENA VIII.

Onufry — Jagna.

(wechodzi Jagna wystrojona, Onufry kłania jej się z przesadą)

O n u f r y.

Moje najniższe uszanowanie! Do nówek się ściele ciotecznie kochanej i zacnej... (kręci głową) Ho, ho, ho! Ale jak mi się cioteczna prześlicznie wystroiła! Aż łuna bije! Dalibóg, cioteczno, chyba się w was zakocham po uszy!

J a g n a (dyga niezręcznie, potem pysznie podnosi głowę, wreszcie zakłopotana mówi pobłaźliwie).

Co wej też pan organista wygadują!... Jak młodzik jaki.

O n u f r y (zalogotnie patrząc jej w oczy).

A czyżem to ja stary?

J a g n a (zmieszana).

No, do tyła, to nie, ale tyż nie dzisiejszy, trzeba tedy być statecznym.

O n u f r y (z umizgiem).

Jam stateczny zawsze, jeno przy ciotuchnie ślicznej zapominam o tem i na jej widok — budzi się we mnie młodzieńcza krew i zapal.

J a g n a.

Nie żartujcie sobie, panie Onufer, bo gdzie ta w starym może być młoda krew?

O n u f r y (jak wyżej).

Gdzie? W sercu! A serce mężczyzny nie starzeje się.

J a g n a.

A bo to prawda? Mój stary ani krzty nie podobny do tego, co był kiedyś.

O n u f r y (nachylając się poufale).

Bo cymbał i kiep, alem ja nie taki... Spróbujcie jeno... (chce ją objąć)

J a g n a (zgorszona odpychając go mocno).

Ady miście rozum, panie organisto! Jeszcze kto oboczy i pomyśli, że na rozpustę przyśłicie. Staryście, a głupi.

O n u f r y (udając skruszonego).

Nie głupi, jeno serdeczny... Ale jeśli gniewacie się, to... (kłania się kilka razy) to prze-

praszam, najmocniej przepraszam (całuje ją
w rękę) Będę grzeczny już.

J a g n a (dygając — udobruchana).

Nie gniewam się, nima za co... Siadajcie lepi, panie Onufer, i pogadajma wedle interesu... To Antoś nie przyszedł?

O n u f r y (rozsiadując się).

Jakżeby? Przyszedł, przyszedł, jeno poszedł szukać wybranki swego serca, bo nam się obu znudziło już siedzieć samym. Jesteśmy tu z górą godzinę.

J a g n a (z żalem).

Patrzta wej! A my się tak zamowachowalim, że nie spostrzegliśmy.

O n u f r y (wspaniałomyślnie).

Et głupstwo! Co się odwlecze — to nie uciecze. Pogadamy sobie teraz, zdążymy.

J a g n a (żwawo).

Mocie słusność... Zara zawołam starygo i... (otwiera drzwi, wołając) Stary! stary! A pódz ino żywo! Goście czekają już dawno!

SCENA IX.

Onufry — Wojciech — Wojciechowa.

Wojciech (wchodząc).

Witamy do nas!

Onufry (zrywając się i podając mu rękę).

Dobry wieczór i szacunek mój kochanemu sąsiadowi! A jak się mamy? Jak zdrowieczko? Widzę, obywatel rumiany jak słońeczko o zachodzie, a brzuszeczek też jak u gąsiorka się robi... Siadajcie!

Wojciech (siadając).

Ano nieźle się wiedzie, dziękować Bogu. Ino wy, panie Onufer, cosik patrzycie na księżą oborę, a łysiną to już świecicie, jak kolanem.

Onufry (z westchnieniem).

To wszystko z przepracowania, mój przyjacielu, a nie ze starości. Cóż chcecie — lat 45, miesięcy 10 i dni 2 — toż to młodość w rozkwicie! Ale jak człowiek poświęci się dla dobra drugich, to nie ma czasu myśleć o sobie. Nie doje, nie dośpi, kielisz-

ka pocziwej wódki nie wypije i tak darmo
rujnuje się...

Wojciech.

To znowuj za darmo to nie, bo przecie
parafja też coś daje.

Onufry (ponuro).

A daje!... Zajrzyjcie, Wojciechu, do
mojej komory — same pustki. Gdyby się
jeszcze ożenić chciało, umrzećby przyszło
z głodu.

Wojciech.

Prawdę rzec — to darmochoy człowie-
kowi bokiem wyłazą, ale ta nie frasujcie
się, kiej ino interesu z Antkiem dobijema,
nie zaboczym o was. Ja sam ze swoi chudo-
by coś wam ofiaruję, bo okrutnie chciałbym
Baškę za niego ożenić.

Onufry (z zapalem).

Baa! Bo i jest czego chcieć. Fortuna
taka, że jeno jej buzi dać. Zważcie tylko:
(wylicza na palcach) Młyn wielki — to je-
dno, staw, jak jezioro — to drugie, ryby
w stawie — to trzecie. włóka gruntu pra-

wie — to czwarte, las na górze — to piąte, a chałupa jak dwór — ogród, konie, inwentarz, czeladź, służba, a nieruchomości wszystkie — to piechotą chodzi? He, he! to nawet nie fortuna, ale złote jabłko! majątek magnacki! — Ja wam to mówię, ja, człowiek oświecony i znający świat! Przy tem to całe dziedzictwo jest czyste jak moje sumienie, bo ani jednego groszka długu — owszem gotóweczka tam dźwięczy tysiączkami, a wiecie wy co to znaczy w dzisiejszych czasach? — I pomyślcie — Antek jest jedynek, bez żadnego sukcesora! Ojciec, stary niedołęga, już też ledwie zipie, od czasu, jak go te walce przygniotły. Zresztą zapytajcie się Antka, — to wam powtórzy.

W o j c i e c h.

Wiem, wiem, ale nie zawadzi zapytać. Ino żeby to łatwo poszło.

O n u f r y.

Co niema pójść? (cynicznie) Antek przecie aż piszczy za Basieczką, czemu się nie dziwię... (klepiąc Wojciecha po ramieniu) A resztę zdajcie na mnie. (chętliwie) Moja głowa nie takie sprawy załatwiała.

Wojciechowa.

Ale tu niewiada, czy poradzicie, bo wej dziewczucha grymasi i krzywa na Antka.

Onufry.

Moja Wojciechowo, to rzecz podrzędna. Antek wprawdzie nie królewicz, ale drab większy, jak drudzy, bogaty, młody i grunt, że ją chce. Zresztą (słodko, skłaniając głowę) nie ubliżając waszej kobiecości i subtelnemu sercu — każda dziewczyna droczy się i boczy, a faktycznie rada w duszy. I niby jej chodzi o wzdychające afekta, a lubi, żeby ją pieniędzmi i siłą zdobywano. (do Wojciecha) No, czy nie, mężczyzno?

Wojciech (machnąwszy ręką).

Niewiele ja ta mogę wyrozumieć z tego, co godocie, to i nie wiem o co wam chodzi, ale powiadam, że Basia pójdzie za Antka i basta! Nie będzie chciała po dobroci, to po niewoli musi. (zagadkowo) Oho! mam ja na to sposób, nima kłopotu.

Wojciechowa (wstając).

Kiej tak, to pogadajta już sami, ja się zakrzątnę koło poczęstunku. (wychodzi)

O n u f r y (za nią).

To się nazywa pani domu! Nawet w tak ważnych sprawach pamięta o prawach gościnności. Nieoceniona, powiadam, nieoceniona!

W o j c i e c h (niecierpliwie).

Gadajma o interesach... Baba jest, nie dziwota, że o garkach myśli.

O n u f r y (przysuwając się).

Służę wam już, służę i cały zamieniam się w słuch, aby wam dać wyczerpujące odpowiedzi, oraz najlepsze rady i wskazówki.

W o j c i e c h.

Czemu to Antek razem z wami nie przyszedł?

O n u f r y.

Ależ on jest, tylko wysłałem go do Basi i pewnie sobie gdzie gruchają. Polityk ze mnie, co? No, ale mówmy o czym innym. O jakim to sposobie wspomnieliście, Wojciechu? Powiedzcie, bardzo ciekaw i muszę wydać sąd, zdecydować też, czy jest mądry dość, by nie potrzebował poprawek.

W o j c i e c h.

Ho, ho! mądry on, mądry tak, że choćbyście nie wiem jak kumbinowali, nie wymyślelibyście lepszego.

O n u f r y.

To się okaże, to się okaże — mówcie tylko.

W o j c i e c h.

Nie znaliście nieboszczyka rodzica Basi, to nie wiecie, że jadvokatem mu być było, taki miał rozum. Otóż, kiej widziol, że śmierć pode drzwiami, kosał sobie przywiść rejenta, mnie zawołać na świadka i prawnie sporządził taki testament, że wszystko zapisał Baśce, ale pod zakazem, że weźmie bogatego chłopca. Bo mu chodziło o to, aby jego krwawicy nie dostał za darmo jaki golec i łakomiec, abo półgłówek i próżniak, ale taki, coby uszanował jego pracę, przyplaconą życiem. Do tego czasu mnie zrobił rządzicielem osady, opiekunem Basi i nakazał wybrać dla niej chłopca. A gdyby się miała uprzyć — nie dać nic, a całą osadę sprzedać i pieniądze przekazać na kościół.

Tak to — widzicie — Tomasz wykal kulował, taki to jest ten sposób. Nie ma dry, co?

O n u f r y.

Nie zaprzeczam, nie zaprzeczam, ale znowu nie wielkiego nie wymyślił; każdy stojący nad grobem — to samoby potrafił. Ale przypuśćmy, że dziewczyna nie posłucha i powie, że nie jeden Antek bogaty — co wtedy zrobicie?

W o j c i e c h (lekceważąco).

Iii! za głupia ona sikora na to. Każę i musi!

O n u f r y.

A przypuśćmy znowu, że będzie chciała zostać panną i żyć we wszystkim, jak teraz? Acha!

W o j c i e c h.

Nie wytrzyma, panie Onufer, młodość i zeniaczka wabi więcej, jak... Zresztą w piśmie powiedziano, że musi się wydać, bo wtedy wszystko dostanie. Jak nie posłucha, zrobię, com obiecał, a ona niech robi co chce.

O n u f r y.

A widzicie, są poprawki i zaradziłem temu. Teraz zawołajmy młodych i zaręczmy ich według wszelkich formalności.

W o j c i e c h (nasłuchując).

Ady pewno sami już idą!

SCENA X.

Onufry — Wojciech — Jagna.

(Jagna wchodzi z wódką i zakąskami)

O n u f r y (zrywając się rozpromieniony).

A to już wstęp do uroczystości! Zjawia się jak na zawołanie! To najszlachetniejszy i najpierwszy nektar braterstwa i spójni serc!

W o j c i e c h.

Jaki tam kiektar? to gorzałka przecie.

O n u f r y (wybierając największy kieliszek).

Na jedno wyjdzie, mój przyjacielu! Biorę ten, albowiem nie będę miał czasu na popijanie z mniejszych. (wznosząc kieliszek)
Wiwat! Niech żyją nasi oblubieńcy!

J a g n a.

Zaraz, zaraz! Ich trza przecie zawolać.

SCENA XI.

Onufry — *Antek* (wchodzi) — *Wojciech*
— *Jagna*.

O n u f r y (pijac).

Idą, już idą!

A n t e k (zły).

Nie... nie wrzeszcz, bo... bo sum idę.
Wystrychną... nałeś mnie na dudka. Szukołem, szukołem i nie mógiem ji najść!

O n u f r y (klepiąc go po ramieniu).

Nie frasuj się, paliwodo, zobaczysz ją
zaraz, a tymczasem pokłoń się panom ojcom i wypij za ich zdrowie.

A n t e k (kłaniając się niezdarnie Wojciechowi, całuje głośno w rękę Wojciechową i biorąc kieliszek, mówi).

Pije! (pije i spluwa ze skrzywieniem) Do.. dobro, psiakręć!

O n u f r y (pijac także).

Teraz ci zakomunikuję, że przedstawiłem tve zamiary co do panny Basi, chodzi

teraz o to, abys swoje chęci potwierdził ustnie sam.

A n t e k (wylupiając oczy).

A... a... a! niby jak? Po... poco?

O n u f r y (pouczająco).

Po to, mój kochany, aby opiekunowie pani twego serca mieli przyjemność usłyszeć od ciebie samego, że ją kochasz, że pragniesz ją mieć za żonę i że o jej rękę prosisz.

A n t e k.

Jakto rękę!? Jo... jo... ją przecie całą chcę! I... i... i... jak mi ją dają, nie... nie potrzebuję prosić! (do starych) Nu nie!?

W o j c i e c h.

Mo słusznie! My ta nie żadne pany, żeby ta wiele zachodu kole tego robić, bo to funta kłaków warte. Po naszemu tak, abo nie i kuniec!

J a g n a.

I ja tak mówię.

O n u f r y.

Być może, że takie postawienie kwestji lepiej wam odpowiada... wasze

prostacze umysły nie dorosły do tego, by pojąć, jaki urok posiadają miodowe słowa wyrażen miłosnych, chciałem więc dać wam ich pokosztować w dobroci mego serca. Ale widząc, że z góry je oceniacie, przystępuję do najważniejszej rzeczy przy zawieraniu związków małżeńskich — to jest majątku mego protegowanego Antoniego i jego przyszłej połowicy.

A n t e k.

Coś ty, z ku... kunia spadł!? Na... nazywom się Krupa, a nie za... za... za... den pro... por... port... Bodaj cie djabli... widać ci się już we łbie pomy... mytliło.

O n u f r y.

Nie zrozumiałeś mnie, młodzieńcze. Mówilem protegowany, co znaczy przyjaciel od serca, ty zaś nie poznałeś się na tem.

A n t e k (mrukliwie).

Godoj po... po... po ludzku, to się poznom.

W o j c i e c h (machnąwszy ręką).

Nie swarzta się; a kończma już te umowy nareszcie... (do Antka) Otóż, mój chłop-

cze, wiadomo ci, że Basia ma bogate wiano po rodzicach, to targu o posag nima. I nam też wiadomo, żeś majątny, ale czy te bogactwo czyste jest naprawdę i twoje wedle prawa?

A n t e k (patrzac na nich ze zdumieniem).

Nu a... a... a... czyje ma być!?

Stary przecie do zie... ziemi tego nie zabierze!? Parobków też mam na.. na to, że... żeby wszędyk czysto było! Stać mnie na... na to!

W o j c i e c h.

Nie o to chodzi, — pytam się, czy do majątku twoigo nikt nima prawa i czy ci go ojciec już zapisał?

A n t e k (jak wyżej).

A...a...a... poco miał zapisywać!? Syn jezdem i moje wszystko! Cze... czego wy ludzie odemnie chceta!?

O n u f r y (z pośpiechem).

Naturalnie, naturalnie, to jasne, jak czarno na białem i nie podlega dłuższej dyskusji. (do Antka) Widzisz, obecny tu pan

Wojciech musiał cię pytać o to, jest bowiem opiekunem twojej przyszłej żony.

Wojciech.

A pewno, że tak! To... t... tożem mu tyż powiedział.

Onufry (uderzając w dłonie).

Cudownie, ślicznie! porozumieliśmy się i skończyło wszystko ku ogólnemu zadowoleniu. Pozostaje mi zatem (kłaniając się) złożyć szanownym państwu powinszowania z okazji tak korzystnego interesu i wypić wasze zdrowie. (piją wszyscy — do Jagny) Teraz zacna, nasza karmicielka zechce poprosić panny Basi, aby przepiła do narzeczonego.

Wojciech.

Zawołaj jej, stara.

Jagna (spiesznie).

Zaraz będzie. (wychodzi)

Onufry (prztyka się w gardło).

My sobie jeszcze tego... Bośmy dokonali wielkiej rzeczy. (piją) Jak was kocham, wspaniały maliniaczek. Dalibóg, delicje iście weselne!

J a g n a (za drzwiami).

Pódzi, nie sromaj się!

O n u f r y (porywając znowu kieliszek).

Idzie już, już! Antoni, jak przystało na grzecznych wielbicieli wdzięków niewieścich, przyjmijmy ją godnie. (stają obaj)

SCENA XIII.

(Wchodzi Jagna, za nią Basia drżąca i cofa się w kąt.)

Jagna — Wojciech — Onufry — Antek
— Basia.

W o j c i e c h.

Ady chodzi tu dali! Czego się boisz?

O n u f r y (zbliżając się do niej w układowych
ukłonach, mówi słodko).

Witamy! Witamy! Prześliczną, pożądaną, oczekiwaną i sercem umiłowaną nam pannę Basieńkę! A składając najuniżeniej jej swą czołobitność, mam honor formalnie i uroczyście oświadczyć, że ten oto młodzieniec (wskazując na Antka) zapalał takim afektem do panny Basi, jak słońce do ziemi i jak słońce pragnie on ogrzać twoje samotne serce, związać się z tobą i oświecić ci sobą

sierocą dołę do grobu. Racz przyjąć pani do serca i wiadomości ten dar zranionego strzałą miłości serca i uszczęśliw go, bo biedne tłucze się w samotnych ścianach piersi jego, jak ptak w klatce. On sam cały sypiać noców nie może i mdleje z wielkiego pragnienia ciebie, jak...

A n t e k (przerywając).

Co un zmyśło, jucha!? Ble... ble... blekotu się obżareś, czy co?

O n u f r y (rzucając mu piorunujące spojrzenie, mówi dalej).

Widzi panna Basia? Biedak nie chce się nawet przyznać i nie śmie, nie umie mówić w takiej chwili, bo pieśń miłości nie ma słów — ja to znam — i kochając was obojga, jak brat, jak ojciec, podjąłem się sam wypowiedzenia jego serca, a wypowiedziawszy — prosząc, dotknij swemi różanemi usteczkami tego kielicha, który ci podaje, bo czeka na to drżący i niemy...

A n t e k (uderzając go pięścią w kark).

Bodajes pękł, Igorzu prze... prze... przekłety.

Onufry

(nie tracąc fantazji, spieszy się, by zagłuszyć jego słowa).

Wszystko już ułożone! Zacni opiekunowie dali wam już swoje przyzwolenie i porozumieli się co do scalenia waszych fortun, teraz następuje tylko dopełnienie aktu zaręczynowego. (do Antka) Podaj kielich, oblubieńcze!

Antek (wyciągając rękę z kieliszkiem).
Na, pij!

Basia

(ze wstretem odtrąca jego rękę, tak że z niej kieliszek wypada i rozpryskuje się. Mówi z żalem i oburzeniem).

Ciotko! Wuju! I wyście tak bezemnie...

Onufry (wpadając w jej słowa — słodko).

Tak! tak, ślicznotko. Zacni twoi opiekunowie — kochając cię nad życie, znając cię i dbając o twoje szczęście — z góry wiedzieli co dla ciebie najlepsze. A chcąc ci oszczędzić tych wszystkich wstydlivości i krępacji, oraz zrobić niespodziankę, na przód właśnie ułożyli wszystko bez ciebie. — Czyż to nie wzruszające, nie rozczulające? — Ach, mnie samemu łzy cisną się do oczu, gdy mówię o tem. (ociera oczy, pociągając nosem)

B a s i a (patrzac na niego z wielką wzgardą).

Panie organisto, ileście dostali faktora-
nego za swój bezwstydný i kłamliwy język?

O n u f r y (obrażony).

Ależ, panno Basio... Co sobie panna
Basia...

J a g n a (przerywając i głaszcząc Basię po głowie).

Nie mów tak, dziecko, pan Onufer po-
wiedział prawdę, z ust nam wyjął to, co
chcieliśmy ci sami wytłumaczyć.

B a s i a (usuwając się lekko, mówi twardo).

Ha, jeśli tak, to kłamiecie wszyscy, bo
ani mnie znacie, ani kochacie, ani dbacie
o moje szczęście, kiej sprzedajecie mnie, jak
cielę na jarmarku, i chcecie mi przez to nie-
dole straszną zgotować! Bo ja Antka nie
cierpię, nie chcę go i poniewoli za niego nie
pójdę! Mówię wam tu pod Bogiem, że —
(zwracając się do Antka) wolę mogiłę, jak ciebie,
słyszysz!?

A n t e k (cstupały).

Co? co? to una mnie nie... nie... nie
chce?

B a s i a.

Nie chcę, nie chcę! po tysiąc razy! (wybiega)

W o j c i e c h (zrywa się, waląc pięścią w stół).

Stój! kanaljo! Słuchasz!?! (rwie się za nią)
Ja cię nauczę moresu!

O n u f r y

(łapiąc go za kapotę i sadzając silnie z powrotem).

Hola, hola, przyjacielu! Opamiętaj się,
to zły krok!

W o j c i e c h (szarpiąc się).

Puszczaj! wiem co mam robić!

O n u f r y (nie puszczając go — zły).

A nie puszcze, bo, do wszystkich djabłów, zepsujesz wszystko do reszty, rozumiesz!?

W o j c i e c h (ze złością).

Jakto do reszty!?! Może mi powiesz,
żem wszystkiemu winien, he? —

O n u f r y (spokojnie).

Po części tak!

W o j c i e c h.

Jak, do pioruna!?

O n u f r y (jak wyżej).

Jak? Powiem ci, ale jak będziesz spokojnie słuchał, a rozsądnie myślał. Inaczej umywam ręce i radźcie sobie sami.

W o j c i e c h (zaciecie).

A to poradzim, obędzie się bez taki wielki łaski.

O n u f r y (rozkładając z goryczą ręce).

Otóż to tak!... Bądź tu, człowieku, dobry, staraj się, zabiegaj, chodź, myśl, pracuj, jak koło swego, — radź i kochaj, jak przyjaciel najszczerzy, a potem cię jeszcze kopną i drzwi pokażą! Tfu! do djabła, aż się wszystko przewraca we wnętrznościach na taką czarną niewdzięczność. (biega i sapie)

W o j c i e c h (pokonany).

To nie gadaj pan, zem winien!

O n u f r y (stojąc przed nim).

A to ja winien, co? Ja dziewczuchy nie chowałem, nie znałem jej narowów, bo byłbym delikatnie, ostrożnie, gładziuteńko tak przygotował i tak podszedł, że choćby nie

chciała — w tej chwili byłoby już po akcie
dokonanym.

W o j c i e c h (pewnie).

I tak będzie, oboczycie!

O n u f r y.

Będzie, ale jak się mądrze do tego weź-
miecie, a nie z furją, złością, pięścią, awan-
tura, żeby się zaraz cała wieś zleciała, pod-
niosła krzyk, że krzywdzicie sierotę i wzię-
ła ją w swoją opiekę.

J a g n a.

A pewno, żeby tak było. Bo to kto nie
zna ludzi? Ja od początku się tego boję.

W o j c i e c h (strapiony — pojednawczo).

To radźcie, panie, co robić?

O n u f r y (z żalem).

Tak, teraz radźcie, a przedtem wyno-
ście się; obędzie się bez was.

A n t e k.

Te! nie... nie.. nie bądź głupi, bo musi
być moja i już! Dawno ci...

Wojciech (przerywając).

Dajma już koniec tym gniwom, wypij ma lepi na zgodę i radźma, bo to już późno!

Onufry (łaskawie do Antka).

Słusznie! Przeproś mnie i daj łapę, brachu!... Ale zgrabniej trochę, lub siądź lepiej, do kaduka, bo nie mogę już patrzeć, jak stoisz z rozkraczonemi łapami, niby żaba.

Wojciech (z niecierpliwością).

No, pijem, pijem już!

Onufry (biorąc kieliszek).

Trąć no się ze mną! (trąca się z Antkiem, potem z Wojciechem) Za dobry koniec naszych interesów! (pije)

Antek.

Za... za... zapamiętoj to sobie!

Onufry (kiwając mu palcem przed nosem).

To ty sobie zapamiętaj to dobrze, abys na drugi raz nie wyjeżdżał z grubijaństwami wtedy, kiedy się na klęczkach powinno mówić, gapo jedna!

A n t e k (śmiejąc się głupkowato).

Hy, hy, hy! na... na... klęczkach... A na
com ciebie wziął, od pa... pa... parady, co?...

O n u f r y.

A właśnie, że dla parady i nauki jak
masz postępować, a jakżeś postąpił? — W
najdelikatniejszym momencie, w najważ-
niejszym punkcie wszystkiego, zachowałeś
się jak ostatni dureń i jednym swoim or-
dynarnem odezwaniem — całej sprawie, tak
genjalnie przezemnie prowadzonej, dałeś
w łeb, jak obuchem! Toż człowieka może
apopleksja trafić! I takie zaloty czarownicę
odstraszyć mogą, a nie dopiero taką płoch-
liwą dziewczynę! Inny na moim miejscu,
rzuciłby wszystko do diabła!

A n t e k (chmurno).

Dar... dar... darmoś nic nie robił, ino
za kawał grosza.

O n u f r y.

Nie przeczę, nie przeczę, ale przyznasz,
kochanku, że się za ten grosz już rzetelnie
wysłużył. A ponieważ teraz trzeba od nowa
zacząć całą robotę i z podwójnym wysił-

kiem, (wdzięczy się słodko) nie będzie bez tego, żebyś coś nie dołożył do tej stówki. Jesteś bogaty, jak pan, honoru ci nie zbywa przecie — to głupstwo dla ciebie taka drobnostka.

A n t e k (grożąc mu pięścią — udobruchany).
Mosh ty łeb na... na karku, jadwokacie!

O n u f r y (skromnie).

Ano, widzisz... Jednemu dano rozum — drugiemu bogactwo, jednemu to — drugiemu tamto, żeby było sprawiedliwie (oratorsko)

I — uważ, bracie — wtedy tylko będzie dobrze na świecie, jeżeli tacy jeno będą się z sobą dobierać i dzielić porównie, co mają. (do Wojciecha) Prawda, przyjacielu?

W o j c i e c h (skrobiąc się w głowę).
Widzi mi się, niedobrze wykalkulowaliście.

O n u f r y.
Dlaczego?

W o j c i e c h (śmiało).
Bo według tego, co gadacie, to Antek z Baską żenić się nie może. Oboje bogaci i oboje jednakowy rozum mają.

O n u f r y (zbity z tropu).

Tak?... tak?... Hm. (zaczyna chodzić) Czekajcie, zaraz wam to jaśniej wytłumaczę, bo widzę, że nie pojmujecie mnie... (do siebie) Tam do diabła, każdy głupi ma swój rozum; wpadłem, jak mucha w smołę... Jakby tu teraz skrócić, żeby ten stary osioł zdurniał i języka zapomniał w gębie? (głośno) Zaraz, zaraz... (staje, myśli i nagle uderza się w czoło) Stój! czekaj! Mam już! (do Wojciecha) Ależ, pocziwoto! to proste jak obręcz, bo oni — to co innego! Po pierwsze — z nich będzie mąż i żona, po drugie — jeśli wam chodzi o tę różnicę — to ją macie w tem, że on chłop, a ona kobieta i ona dziewczuszka, że jeno buzi dać, a on — mówiąc między nami, ze swą urodą ledwo ujdzie w tłoku! Czyż to nie dosyć!? —

W o j c i e c h (z wahaniem).

Ano niby...

O n u f r y (przerywając, klepie go po ramieniu).

Żadne niby, mój bracie, tylko tak jest, jak amen w pacierzu! I choćbyś się sto lat skrobał po czubie, to nic z niego nie wy-skrobiesz, bom ci już tak dokładnie wszyst-

ko wykoncypował, że sam Salomon scho-
wałby się ze swym rozumem. (pokazując palcem
na głowę) Ho, ho! mój stary, tu jest praw-
dziwa kopalnia mądrości, tu trzeba zajrzeć
i popytać się, to wszystko wam się jasnym
wyda!...

Wojciech.

Ady przecie chcę, ale czy mogę? Kre-
cicie jak lis ogónem, zagadujecie i chwalicie
się bez ustanku, żeście mądrzy, a tego wca-
le nie widać, bo gadama już z godzinę na
wiatr i po próżnicy ino czas tracim. Po-
wiedźcie już raz, jak wyliść z tego kłopotu
i pójdziem spać, bo to już widno robi się
na wschodzie.

Onufry.

Ależ, Wojciechu! Chciałem przecie tego
od początku i miałem właśnie wam to w tej
chwili zacząć, aleście mi przeszkodzili zno-
wu niesłuszną i raniącą jak cierń — wy-
mówką. Wspaniałomyślnie wam to jednak
— jak zawsze — przebaczam i na cały ten
bigos daję wam radę taką:

Pamiętajcie dziewczynę pozostawić w
spokoju. Żadnych wymówek, ani przymusu

nie robić, udać tylko smutek, że nibyście nie-
 chcący przestraszyli ją i okazać dużo serca,
 a postępować tak, żeby myślała, iż o jej
 szczęście wam chodzi tylko. A gdy się uła-
 godzi, to tak słóweczko po słóweczku, słó-
 dziutko, okolicznie, niewinnie i dyploma-
 tycznie, jak to ja robię, — otwierajcie jej
 oczy na chciwość, uczcie ją pragnąć boga-
 ctwa i pychy, opowiadajcie jej, że ile to
 można wtedy robić, co się zechce, że wam
 coś w duszy szepce, jakoby zmarli ojcowie
 chcieli, aby wyszła za Antka i zrobiła z nie-
 go człowieka. Ona ma czułe serce i jest na-
 bożna tak, to te zmyślane historyjki przeka-
 bacą ją łatwo, zobaczycie. Resztę ja biorę
 na swą głowę i koniec! Wypijmy jeszcze
 po jednemu i spać! (nalewa i patrzy na Wojciecha
 zamyślonego) Co tak myślicie? kombinujecie
 może co innego co?..

Wojciech.

Nie. Myślę ino, żeście — panie organi-
 sto — kuty na cztery kopyta i chyba od
 djabła uczyliście się tego rozumu, bo i onby
 lepi tego nie obmyślił. —

O n u f r y (śmiejąc się sztucznie).

Ha, ha, ha! A widzicie! To się nazywa mieć spryt! Słuchajcie tedy i uczcie się odemnie, to zawsze wyjdziecie na dobre. No, ale dobranoc, bo ledwie się trzymam na nogach ze znużenia. Chodźmy, Antoni!

W o j c i e c h (żegnając się).

Idźta z Bogiem! (wychodzi z jednej strony)

O n u f r y (do Antka).

Słuchaj no, należałoby do poduszczeni wypić sobie coś pikantnego.

A n t e k (zdumiony).

Ma... małoś się jeszcze nachłół!?

O n u f r y.

Głupiś, pało! Nie wiesz o tem, że jak się dobrze napić — to to, co się przyśni, to się wyśni? — Nie ciekawys? Chodź, zobaczysz.

A n t e k (nie ruszając się).

Nie... nie... nie ciekawym i nie pójdę, bo ostaję tu!

O n u f r y.

Poco?

A n t e k (z uporem).

Ostaję i już! co... co ci do tego?

O n u f r y (niecierpliwie).

A zostań, jak chcesz, musisz mi jednak dać na butelkę słodkiej, bo ja wolę spać jak gapić się w księżyc. Ale prędko, bo mi się spieszy!

A n t e k (zły).

Idź do... do... djabła! Ni mum ani grosza!

O n u f r y.

Nie zawracaj kijem Wisły, sam widziałem jak brałeś dwie piątki. Zresztą policzę ci to na rachunek nowego trudu. Tylko przędziej, nie namyślaj się!

A n t e k.

Bodajeś djabła po... po... połknął, beczko. (niechętnie szuka w portmonetce)

O n u f r y (na stronie).

Ciekawym, co ten cymbał — pokraka zamyśla, bo że nie księżyc mu we łbie — daje głowę. Ha, ha, ha! takie bydle i mądrzenia! Pęknać można ze śmiechu, ha, ha! (patrzy na Antka) Ale jak to tam grzebie, jak-

by był ślepy. (głośno) Fabrykujesz ten papier, czy co? (podchodzi doń i wyrywa mu z ręki pieniądze, kłaniając się w pół) Dziękuję ci, hojnyś, jak prawdziwy pan. Słodkich marzeń! (zmyka)

Antek (zaskoczony, po chwili).

To... to... ci cholewa psia... (z podniesioną pięścią i taczając się — wybiega) Cze... czekoj, wykpisie!

SCENA XIV.

Antek — Basia.

(Przez chwilę scena pusta, potem wchodzi Basia, nadsluchuje i z jękiem pada na kolana przed obrazem).

Basia.

O! Matko Boża! Matko sierot, nie daj mi ginać!... Bo już nie wiem co sobie zrobić... (łka głośno i rozpacznie)

Antek (wraca i zbliżywszy się do niej, szarpie ją za ramię).

Beczysz, głupio? Aboś becza... czała, a... abo ni tak cie będę miał, słyszysz!? Hy, hy, hy! uradziłam my dobrze i musisz...

Basia (wzdrygnawszy się, zrywa i odskakuje od niego, krzycząc).

To ty!? Czego tu chcesz? wynoś się!

Antek (złowrogo, podchodząc).

He, he! Nie głupim, na... na... na... na
tom tu ostoi, aby cię zmusić po wo... woli,
czy po nie... niewoli, słyszysz!? I pożegnać
hy, hy! jak chłopok dzieuchę. (chce ją objąć siłą).

Basia (całą siłą odpycha go, aż ten się zatacza).

Precz, pijanico! do chlewa ty!.. Bo za-
wołam ludzi!

Antek (rzucając się ku niej).

Jo... jo... jo ci tu zaro gębe zamknę...
(chwytając ją)

Basia (krzyczy).

O Jezu! Na pomoc!!

Antek (zasłania jej usta i dusi w ramionach).

Cicho psia... bo cię... u... u... uduszę.

SCENA XV.

Basia — Antek — Jaśko.

(Nagle oknem wskakuje Jasiek, chwytając Antka za ramiona
i rzuca nim o ziemię.)

Jaśko (do wolnej Basi).

Uciekaj, Basiu! Rozprawię się z nim!

Antek (zrywa się i chwytając butelkę, mierząc w Jaśka).

Czekaj ty...

Kowalska. Biała ręka.

B a s i a (przerażona).

Rany Boskie!... (przytomnie podbija rękę
Antkowi i butelka rozbija się o ścianę)

A n t e k (w złości chwytając za ławę).

Jo... jo... jo wos oboje, cholery... (biegnie
do nich)

SCENA XVI.

Wojciech — Antek — Basia — Jaśko.

Wojciech (wpadając).

Co się tu dzieje!? Antek, co to ma zna-
czyć, do diabła!? (zastępuje mu drogę)

A n t e k (wściekły).

Na... na bok, stary! bo i cię... ciebie
psia...

Wojciech (wrywając mu ławę i sadzając go siłą).

Wścikeś się, czy co, do pioruna!? O co
ci chodzi? gadaj! Kto winien? Baśka! (spo-
strzega Jaśka) A ty tu co robisz, skądś się tu
wziął!?

B a s i a (drżąc).

Pomocy krzyczałam i przyszedł...

Wojciech (przerywając).

Na co pomocy?

J a ś k o (pokazując na Antka).
Bo o mało jej ten... nie udusił!

A n t e k.
To... to... un mnie dusił!

B a s i a i J a ś k o (razem).
Kłamie!

W o j c i e c h (groźnie).
Milczeć! (do Jaśka) Jeśli było co między
nimi — to ja tu gospodarz i opiekun! A ty
jakiem psiem prawem wtrącasz tu swoje
trzy grosze, smarkaczu, co!?

J a ś k o (śmiało).
Prawem każdego porządnego człowieka,
co broni uczciwej i niewinnej dziewczyny
przed gwałtem takiego pijanego bydlę-
cia!

W o j c i e c h (tupiąc nogą).
Stul pysk! Wara ci od tego! to jej ka-
waler!

J a ś k o (drwiąc i gorzko).
Ładnie się ten kawaler stara o pannę —
Basi hańbę, a wam wstyd przynosi.

Wojciech (podchodząc do niego).

Będiesz mi tu jeszcze dogryzał, smyk jakiś?.. Won mi z oczu... (oglądając się) bo ja złapie kija — to...

Antek (rzucając się też).

Da... dali go! Ubić juchę!

Basia (z trwogą zasłaniając Jaszą).

Chryste!... Wuju! czy i wy rozumiecie!?

Wojciech (wpadając w złość).

Poszła, sroko, bo i tobie kości porachuję, słyszysz!?

Basia (stanowczo).

Nie pójdę, bo milszy mi Jasiek, jak żyćcie własne.

Wojciech (zamierzając się na nią).

A ty, kanaljo!... (wtem stary Piotr ukazuje się we drzwiach i woła)

SCENA XVII.

*Wojciech — Piotr — Basia — Antek —
Jaśko.*

P i o t r.

Ludzie! bójcie się Boga! Co się tu dzieje? Toż aż pod lasem słyhać! Wstyd i obraza Boska!

W o j c i e c h (nie hamując się).

Niech się ścierwo nie stawia i słyha opiekuna... A znaj psia... mores! (uderza w próżnię, bo Jaśko zrecznie usuwa Basię)

P i o t r (chwytając Wojciecha za rękę — nakazująco).

Nie dopuszczę do tego, Wojciechu! Muszę wiedzieć o co wam poszło i sam was rozsądzę!

W o j c i e c h (szarpiąc ręką).

Idźci sobie w djabły!

P i o t r (stanowczo).

Nie pójdę, bo nie chcę, aby cię na starość ludzkie języki szarpały, słyszysz!? I nie zapominaj, żebym ci ojcem mógł być, rozumiesz!? (Wojciech opuszcza rękę)

O tak. (do Basi) Zamknij no okno, dziecko
(do Antka) A ty czemu tak patrzysz jak zbójca?
Coś mi się widzi, że przez ciebie ta awan-
tura, siadaj mi zaraz i wy wszyscy! (siadają)
Gadajta teraz o co wam poszło?

Wojciech (mrukliwie, zły).

Pytajcie tych gałganów (wskazuje Jaśka
i Basie)

Piotr.

Zaczniij ty, Basiu!

Basia (wstając).

Wszystko od początku chrzesnemu po-
wiem. Opiekunowie chcieli mnie wydać za
Antka, bo bogaty i kazali mu dzisiaj
przyjść ze swatem na umowę. Kiej przyszli
— powiedziałam im, że go nie chcę, że wole
mogile jak jego i uciekłam, bo mi ledwo
serce nie pękło. Po wszystkim, kiej sobie
poszli, przyszłam i chciałam się pomodlić,
a tu Antek wrócił i chciał mnie po niewoli
zmusić. Tak gadał. — Ja zaczęłam krzy-
czyć, bo mnie prawie dusił, aż tu Janek
wpadł i obronił mnie. Antek chciał go za-
bić, wtedy wuj nadleciał i nie dał, ale nie

chciał wierzyć jak było i tak rozeźlił się na Janka, że sam go chciał bić, nie dałam i na mnie całą złość wylał. Tak było.

Piotr (kładąc Wojciechowi rękę na ramieniu).
I za to żeś się tak rozgniewał? Takiś sprawiedliwy, Wojciechu?

Wojciech.

Nie za to! Una, choroba, powiedziała, że miłszy jej Jasiek, jak życie własne!

Piotr (łagodnie i smutno).
Prawda to, Basiu?

Basia (przypadając mu do kolan).
Prawda, mój chrzestny... Z dawna my z Jankiem lubimy się i powiedzielim sobie, że się pobierzema, ale... (płacze)

Antek (wygrażając jej).
Ty... ty, zaraz.

Piotr (do Janka).
A cóż ty na to?

J a ś k o (wzruszonym głosem).

A cóż ja, panie Piotrze?... Bóg tylko widzi, jak ja ją miłuje i, że nie żyć mi bez niej, alem sierota i biedny. (zasłania twarz)

A n t e k (szydereco).

Hy, hy, hy! Beczy.

W o j c i e c h (tupiąc, do Jaśka).

To tyż wynoś mi się stąd! Za wysokie progi na twoje nogi, przybłędo!

A n t e k (do Jaśka).

Widzisz, przy... przy... błędo? Fora ze dwora!

B a s i a (błagalnie).

Chrzesny, mój złocisty...

P i o t r. (surowo).

Hola, Wojciechu! (do Antka) I ty zamknij gębę! To jest podłość i grzech, wołający o pomstę do nieba — tak poniewierać sierotę i szydzić z czyjej biedy. Czem on na to zasłużył? Czy tem, że najuczciwszy jest i najporządniejszy? Czy tem, że pracuje i zachowuje się tak, że majster więcej mu wierzy, jak swoim synom? Czy tem, że

Boga kocha i szanuje każdego? Czy też tem nareszcie, że upodobał sobie te dziewczkę? O!! (trzęsie głową) to nie jest wina, bo sercu nie rozkażesz; ono samo sobie panem i samo bez naszego chcenia wybiera co mu miłe. (silnie) I dobrze wybrało; oni stworzeni jakby dla siebie.

Wojciech (uparcie).

Abo stworzeni, albo nie — Baśka za Antka wyjść musi! I aboście gadali, albo nie — nic z tego, bo cóm rzekł, to święte!

Piotr (surowo).

Będzie, co Bóg da, a nie jak ty chcesz, bo nie to jest święte, coś rzekł, ale to, co się ze sumieniem godzi, Wojciechu! (potrzasa głową) Ale ja widzę, że sumienie u ciebie teraz nic, bo opętał cie diabeł bogactwa i gotówes mu duszę zaprzedać. (patrzy w dal i smutno) Tak... Dziś na całym świecie tak się dzieje... Na co nie spojrzysz, to twoje, choć masz wszystkiego po uszy, jeszcze cię oskoma ciągnie na czyje, a zazdrość i zachłanność pcha nieraz do czynów Kainowych. — Bo bogactwo u ludzi — to wszystko? — praca — hańba, bieda — to gnój,

uczciwość — wstyd, a Bóg... (bierze się
głowę) Jezu miłosierny! już nie chcę je-
ka brudzić temi bluźnierstwami, co ni-
strugą — z gęb ludzkich płyną. — A
to zgorszenia się dzieje?... Nad grobe-
stoję, a ta reszta żywota kamieniem
cięży na barach... Nie wiem już, czy
przyszły czasy ancychrysta, czy Pan Bóg
zapomniał o nas i z góry skazał ród ludzki
na zagładę i potępienie?... (ze skargą i bólem)
Czy już lepi nie będzie?...

J a ś k o (słuchając z uwagą cały czas — przypada do
niego).

Będzie! będzie! Ino nie biadajcie tak,
gołabeczku nasz stary, zobaczycie! Kocha-
cie ludzi i pragniecie ich dobra, to w tej
trosce o nich, widzi wam się wszystko go-
rzej, ale tak źle nie jest, wierzajcie! Ja prze-
cież jestem inny, a takich, jak ja, tysiące się
znajdą i choć zła dzisiaj więcej na świecie
— zwycięży dobro, bo jest mocniejsze, bo
z nas robią się miliony, bo z nami będzie
Bóg! Zagłada może spotkać ino podłych!

P i o t r (tuląc jego głowę).
Tak myślisz, synu?... (patrzy na Jaśka, rozpromie-
nionego zapalem i ociera łzę) Tak, twoja prawda,

chłopcze. Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy i miłosierny; wiem, ino jak się tak patrzy na wszystko i widzi... to aż w głowie mirzchnie i dusza jęczy skargą, a...

Wojciech (gryząc uszczypliwością wybuchając).

Ha, ha, ha! Cieszcie się, stary grzybku, i popłakujcie sobie z radości, bo nie potrzebujecie nawet czekać. (pokazując na Jaśka) Takich zbawców Bóg wam dał już więcej jak tysiące! Gdzie uszy podać, wszędy słyszycie takie piękne słówka, słodkie obiecanki, a to ino — ha, ha! bzdury, cygańskie oszukaństwo i djabelne tumanienie naroda. Radujcie się jeszcze, stary, ha, ha, ha!

Piotr (zrywając się — surowo).

Milcz, na Boga! Twój śmiech, bracie, to śmiech szatana, co chce zgubić dobrą duszę, to chichot potępieńca, którego sumienie gryzie i zięje nienawiścią do dobrych, a raduje się wtedy, kiedy ich może wydrwić i skrzywdzić! Rozumiesz to ty? I wiesz, skąd się to ciebie wzięło? (łagodnie.) Stąd, mój Wojciechu, żeś się nasłuchał i nawierzył różnym łgarstwom, a kiejżeś się prze-

konał co one warte — przez złość i żółć nie chcesz wierzyć prawdzie i nie chcesz, bym i ja wierzył. To głupia pycha i niegodziwa zawziętość! Zamiast upierać się, trza z niej wyciągnąć taką naukę, że chcąc słuchać gadek o nowych porządkach, czekać na te obiecanki — trza wpierw pytać się sumienia, czy to wszystko będzie zgodne z prawem Bożem i dobrem wszystkich braci naszych. Wtedy cię nikt nie oszuka, za to ty innych rozumu jeszcze nauczysz i jakiegoś tam szczekaczowi tak zamkniesz gębę, że jej przy tobie nie otworzy i pójdzie se, skąd przyszedł. — Przytem, ty mój kochany, znalazłeś tamtych jeno z pustego gadania, a tego (wskazując na Jaśka) znasz, że do gruntu uczciwy jest, dobry, dzielny i pracowity, jak daleko szukać. Za wzór go możesz wszystkim postawić.

Wojciech (niecierpliwie).

Co mi ta z tego, golec jest i już!

Piotr (poważnie).

A tyś od razu miał to, co masz? he? A dziś uchodzisz za możnego gospodarza. Jemu jeszcze łacniej przyjdzie się dorobić,

bo ma zawód w rękę, a tego mu ani ogień, ani woda nie zabierze i bida nie dokuczy. To pewniejsze nawet, jak majątek... Zresztą czemu ci, u licha, tak chodzi o ten majątek? Dla siebie go przecie nie chcesz; Baśka ma bogate wiano po ojcach, to posażył jej nie będziesz i nie potrzebujesz, a sam masz więcej, jak trzeba! No, i powiedz po co?

Wojciech.

Po to, Piotrze, że jak Baśka pójdzie za Antka, to ino w tem — w czym stoi.

Piotr (zdumiony, prędko).

A to jakim sposobem, co znowuj nowego!?

Wojciech (spokojnie i z pewnym uśmiechem).

Nie jam to wymyślił, ino jej ojciec. Mądry chłop! W testamencie wyraźnie kazał napisać, że Baścynie wtedy wszystko, jak pójdzie za bogatego chłopca, a jak nie — to to wiano na kościół idzie. Może ja źle chcę, co?

Antek.

Hy, hy, hy! wi... widzisz, golcu? — moja Baśka!

B a s i a (z płaczem).

Wuju! ja nie nie chcę, wydajcie mnie
ino za Jaśka...

J a ś k o (błagalnie).

Panie gospodarzu, ja jeszcze wolę Ba-
się bez wiana! Dajcie mi ją!...

W o j c i e c h (z gniewem).

Co, co!? Ty...

P i o t r (przerywając).

Uciszcie się, moi drodzy! Zaraz... (przesuwa
dłonią po czole) Prawda! teraz sobie przypo-
minam. Przecież nawet nieboszczyk Szy-
mon czytał mi ten nieszczęsny papier...
Tak, tak, pamiętam! (uśmiecha się ożywiony) Ale
czekaj, bracie, tam przecie i to zawarte,
dlaczego tak Szymon postanowił. Chodziło
mu o to, aby jaki gałgan nie ułasczył się
ino na majątek i nie zmarnował go. Z tego
widać, że nie dbał tyła o bogatego, co ucz-
ciwego zięcia.

W o j c i e c h (z niedowierzaniem).

Acha! klituś-bajduś, Piotrze, znam się
na tem

P i o t r (wesolo).

Nie klituś-bajduś, Wojciechu. — Mówię ci pod Bogiem, że gdyby stary żył, jużby Basia była za Jaśkiem.

W o j c i e c h (z uporem).

Nie maćta mi łba, bo i tak będę stał przy swoim i basta!

P i o t r (jak wyżej).

Nadaremno, kochanku, bo choćbyś te sprawę podał w proces, to przegrasz, bracie, bo sąd uzna zawód za majątek. (poważnie) I wiesz co ci jeszcze powiem? — Kto wie?... Może w całym tem zdarzeniu jest wyraźny palec Boży i opieka zmarłych nad sierotą?...

W o j c i e c h (szydreczo).

Ha, ha, ha! Opieka zmarłych nad sierotą! Nie nabierzecie mnie, stary, z tej beczki, bo nie głupim wierzyć w takie bajdy ludzkie i nie boję się ich! To wszystko przywidzenia głupie, ja ta nigdy nie widziałem, ani nie słyszałem żadnego umarlaka.

P i o t r (z wyrzutem).

Ba, uwierzyłbyś dopiero, jakby Szymon wstał z grobu i powiedział ci sam!!?

W o j c i e c h (z uporem).

A juści, gdyby się tak opiekował i miał w tem jaki interes, toby przyszedł i dał znak jaki.

P i o t r (surowo i nagannie).

Wojciechu, ty się widać już Boga nie boisz, bluźnisz i chcesz naprawdę znaku, jak ten faryzeusz!?

W o j c i e c h (hardo).

A dobrze, chcę! I bać się ni mam czego. Pilnuję testamentu i basta!

P i o t r (wstając jak natchniony).

Ha, niewierny Tomku, widzę, że cię nie nie poruszy w tej zakamieniałości ino sąd i wyraźna wola Boża. Dobrze, będziesz ją widział. (do chłopców) Słuchaj, Antku i Janku, uważnie: Przez cały tydzień, żeby mi się tu żaden z was nie pokazywał, a w niedzielę po południu przyjdzieta obaj i który z was okaże bielszą rękę, ten będzie mę-

żem Basi i od razu się odbęda zrekowiny.
Rozumiecie!?

J a ś k o (pochylając głowę).

Dziej się wola Boża!

A n t e k.

Ja... ja... jakeście powiedzieli?

P i o t r.

Słyszałeś, który z was w niedzielę będzie miał bielszą rękę, ten dostanie Basię!

A n t e k (do Jaśka).

Hy, hy, hy! Cze... czekoj... Ja młynorz, ty kowol, oboczym!

P i o t r.

Widzisz, Wojciechu, wypada nawet lepi dla Antka. Ha, trudno, wola Boża. Teraz rozejdźma się, a zobaczym się tu dopiero w niedzielę i skończą się te spory zgodą — myślę!

W o j c i e c h.

Niech już będzie i tak. Dobranoc!

(wychodzą)

(Zasłona spada)

Kowalska. Biała ręka.

Akt II-gi.

(Ta sama izba, tylko przystrojona odświeżniej jest i uroczyście zielenią. W głębi stół nakryty białą serwetą pod ścianami ławy i w narożniku mały stolik pod zwierciadłem. — Po chwili wchodzi Basia, smutnym wzrokiem ogarnia całość izby i przyciskając ręce do piersi śpiewa żałośnie.)

SCENA I.

Piotr — Basia.

Śpiew nr. 3.

O mój Boże, mój kochany,
Ledwo żyję z trwogi...
Czy mi Antek przeznaczany,
Czy Jasieńko drogi? (bis)

Już... za chwilę Bóg okaże
Swoją świętą wolę,
Ale nie wiem co mi ześle,
Radość, czy niedolę? (bis)

Matusz moja, coś jest w niebie,
Módl się za sierotą,
Aby Pan Bóg mi zapalił
Gwiazdkę szczęścia złotą. (bis)

Bo ja chyba nie przeżyję
Takiej strasznej doli,
By ślubować niemiłemu
Miłość poniewoli. (bis)

(siada i ukrywając twarz w dłoniach, łka cicho)

Piotr (wchodzi, chwilę patrzy na nią, ze współczuciem kiwa głową i mówi).

Placzesz, ptaszyno biedna — lękasz się, co?

Basia (podbiega do niego i całuje mu rękę, mówiąc z pospiechem).

Ach, chresny kochany, jak to dobrze, żeście przyszli! Chodźcie, chodźcie, usiądźcie i pocieszcie mnie jakoś, bo mnie już z tego wszystkiego... (ukrywa twarz i znowu płacze, siadając obok niego)

Piotr (po ojcowsku tuląc ją).

Cicho, cicho, zuzulo, cicho, maleńka... Nie trza tracić nadziei i upadać na duchu, Bóg przecie ojcem sierot, a Pan Jezus kazał wierzyć nawet tonącemu... Nie płacz, dzieci-no, nie, nie...

Basia (tuląc się mocniej do niego, mówi głosem ukojonym).

Tak dobrze mi przy was, chresny... Tak dobrze... ciepło jakoś... nie wiem... (podnosząc oczy) Mówcie jeszcze co, mój złocisty... Wy taki mądry!...

Piotr (myśli chwilę i śpiewa).

Śpiew nr. 4.

Jam nie mądry, dziecię moje,
Jeno życia szmat —
Nauczył mnie sprawiedliwie
Patrzeć na ten świat
I osądzić, jak należy,
Czyjsiś błędny krok,
Czasem przejrzyć, co ukrywa
Zgubnej myśli mrok.

Dzisiaj ludzi, jak zaraza,
Tępi złego moc —
Zda się, że już końca świata
Idzie straszna noc —
Tyle bólów, tyle smutków,
Tyle gorzkich łez...
Lecz, dzieciно, pomnij na to —
Wszystko ma swój kres.

Wszystko, co się działo, dzieje —
Wszystko Pan Bóg dał,
A to poto, by się człowiek
Jego godnym stał.
Tylko wtedy, dziecię moje,
Człowiek wielkim jest,
Kiedy zniesie i zwycięży
Trudnych zmagkań chrzest!

Ból, cierpienie — męstwem ducha
Uleczyć się da, —

Nienawiści, krzywdy bratnie
I zgorszenia zła
Przebaczeniem i miłością
Siewem świętych cnót
Zawsze można, dziecię drogie,
Podnieść z błędów lud.

Zachowanie ojców wiary —
Zaćmi nieszcześć czas,
Wspólna i uczciwa praca —
Zrobi możliwych nas.
Jedność, zgoda w całym kraju
Wzniesie szczęścia gmach,
Jaki Pan Bóg nam ukazał
Kiejś w proroczych snach.
(mówi)

Tedy uspokój się, dziecko, nie trwóż się,
a ino wierz niezłomnie! Dla wiary naszej
Bóg cuda czyni i nie opuści cię — pamiętaj.
Miłe mu są najlichsze twory, a coż dopiero
człowiek i serce sieroce, które Mu los
swoj oddało w opiekę?

Basia (pocieszona całując go w rękę).

Oj, chrzesny mój kochany, jak wy dobry,
pocziwy! Jak ojciec prawdziwy i jak
się was słucha, to w sercu tak lekko i radośnie
się robi, że aż dziw bierze po co to
się człowiek smuci i biada?...

P i o t r (z uśmiechem).

A widzisz! Jak sobie w cichości serca zawsze tak wszystko rozważyć, to pewno, że człowiek niepotrzebnie się troska. Ale natura ludzka jest ułomna; zapominamy o tem, że serce po to nam dane, aby czuć i przez to uczyło się czuć innych i kochać, a robiło się coraz lepsze i mężniejsze, nie łamało się zaś i upadało.

B a s i a (w zamyśleniu).

Żeby to wszyscy ludzie tak myśleli, tak dobrzy i mądrzy byli — nie byłoby tak źle i smutno na ziemi.

P i o t r.

Są tacy, Basiu, są lepsi i mędrsi... gdzie mi ta nawet równać się z nimi? — ino ich mniej i dlatego nie widać ich, ale zobaczysz, będzie ich więcej! Słyszałaś, jak powiedział Jaśko? Dobro nie ginie! Wy młodzi, czy to przy pługu, czy gdzie indziej, żyjąc i pracując po Bożemu, zbudujecie szczęśliwszą przyszłość, a głównie, wy kobiety-matki, jeżeli wychowacie Polskę dobre syny... Ja tego nie doczekam, ale...

B a s i a (kończąc z zapalem).

...Ale tam w niebie, chrzesny, zobaczycie to i radować się będziecie: (z tęskną powagą) Widzieć będziecie też, że nie zapomniałam waszej nauki i jestem jej wierną.

P i o t r (wzruszony).

Daj ci to, Boże, ptaszyno kochana.

J a g n a (za sceną).

Basia!!

B a s i a (siedząc).

Tu jestem! Chrzesny przyszedł!

SCENA II.

Piotr — Jagna — Basia.

J a g n a (wchodząc).

Witajcie, Pietrze! Straszniem wam rada.

P i o t r.

Bóg zapłać!

J a g n a (załamując ręce).

Na i patrzta wej, ludzie, rozsiadła się, jak za dobrych czasów, a tu tyle roboty!

Ruszajno do kuchni, widzisz przecie, że goście się schodzą, a poczęstunek w lesie!

B a s i a (wychodząc).

Już idę!

P i o t r.

Ady nie pilcie tak, Wojciechowo, macie jeszcze czas! Ja ino po drodze na nieszpory wstąpiłem na chwile, ale wszyscy po kościele zaczną się schodzić i na wieczór prawie.

J a g n a.

Kiej widzicie — i ja wybirom się na nieszpory i latego chciałam przygotować wszystko zawczasu.

P i o t r (wstając).

Ano to chodźma!

J a g n a.

Jeszcze chwile posiedźma, Pietrze, i powiedzcie mi co. Stęskniłam się za ludźmi, bo bez ten cały tydzień żywa dusza tu nie zajrzała. Mówię wom, aż straszno było, bo i mój stary, jakby mu gębę kto zawiązał, ino myśli a myśli, a zły, że go się nie

dotknij... A jak myślicie, jak to wypadnie ten sąd?

P i o t r (myśli, potem nagle).

A jakbyście chcieli, żeby wypadło?

J a g n a (mieszając się).

Jak? (chrząka) No... żeby... żeby dobrze wypadło.

P i o t r (przeciągle).

Baaa! Ale co znaczy to „dobrze“?

J a g n a (jak wyżej).

No, widzicie... (chrząka znowu) kiej nie wiem, jak wom to powiedzieć.

P i o t r (uśmiechając się gorzko).

Wiecie, wiecie, ino nie chcecie. Sumienie macie niespokojne i pytacie mnie. A po co? Jesteście przecie pewni, że chciałbym dobrze dla Janka, a wy dla Antka.

J a g n a (śmieje).

Abo powidzcie sami, źleby to było? — Wprawdzie Antek nie urodny, ale tak bogaty, że lepszego nie znajdzie. Przytem za

Baską ledwo się nie zapomni, krzywdy jej nie robi.

P i o t r.

Taaak! Czemużeście to wy za młodu nie wybrali Sobka, co was też chciał przez siłę i kieszeń miał nabić, — ino swojego Wojciecha, co?

J a g n a.

Co tam wspominać dawne lata?... (zamyśla się, potem) Sobek był złośnik, zawalidroga i — (wstrząsając się) taki jakiś obmierzły.

P i o t r.

Nie to, ino, żeście miłowali innego, prawda? I dziwicie się Basi? Z nią przecie to samo, a Sobek jeszcze nie tyle był obmierzły, co Antek i chcecie ją za niego wydać? — Chcecie dla niej tego nieszczęścia, którego samiście uniknęli? A przecie Basia jest jak wasze dziecko, bo ta sama krew i jedno na świecie! Zastanówcie się, kobieto!

J a g n a (opuszcza głowę i ze splecionymi dłońmi siedzi dłużej zgnębiona, potem ze skrucą).

Moiściewy, powiem wam już całą prawdę: ja myślałam o tem ciągiem, kocham

Basię jak swoją, żal mi jej i wolałabym wydać ją za Jaśka. Bo to złoty chłopak i dobry rzemieślnik, ale co poradzę, kiej stary uparł się na ten testament i Basię Antkowi obiecał? Sami widzicie, że z nim nie łatwo, bo jak się na co uweźmie — to święte i już!

P i o t r (weselej).

Heee! Kiej o to ino chodzi, a sercem jesteście za nami — to nadzieja w Bogu! Chodźma lepi do kościoła pomodlić się na tę intencją!

J a g n a (biorąc chustkę).

Macie słuszość. Jakoś mi lżej teraz na duszy. (wychodzą, po chwili Basia przynosi wódkę, zakąski, ustawia wszystko z szykiem, przypatruje się potem z uwagą i do siebie)

B a s i a.

Czegoś jakby brak, ale czego? (po chwili) Wiem już, trzeba przystroić wszystko kwiatami. (wybiega. Za sceną słychać głosy, pukanie do drzwi, po czym wchodzi: Marysia — Zosia — Hanka — Frania.)

SCENA III.

Marysia — Zosia — Hanka — Frania.

Z o s i a (do Marysi).

A widzisz, zara mówiłam, że nima nikogo.

M a r y s i a (rozglądając się).

Mądraś, zostawiliby tak chałupę na Boży łasce i to z takim jeszcze poczęstunkiem!

F r a n i a.

A pewno, że nie!

H a n i a.

Może wyszła na podwórko, abo się schowała?

M a r y s i a.

A wej ją! druga kapuściana głowa! Baśce właśnie tak dziś do figlów ochota, jak wom do roboty!

Z o s i a.

Ochota jak ochota, ale popłakuje sobie może gdzie w samotności?

M a r y s i a (poważnie).

Tak myślisz?

W s z y s t k i e.

Nie — ino to!

M a r y s i a (z podskokiem).

Klituś-bajduś, podrygajduś! Wyszpe-
ram ja ją wam zaraz, zobaczyta! (wybiega)

Z o s i a.

Ciekawe, czy Basia wie, co gadają
wszyscy?

H a n i a (ciekawie).

A co? co gadają!?

F r a n i a.

Hale! jeszcze się pyta.

H a n i a.

Naprawdę wam mówię, że nie wiem
nic. Powiedzta mi, moje drogie!

Z o s i a.

Na cały wsi jeno gra, że Antek wygra,
bo cały tydzień nie nie robi, ino szczotkuje
łapy i trze gliceryną, a Jasiek od rana do

nocy kuje, a kiejś nawet bez całą noc. Jedni go żalują, a drudzy pośmiewają się, że za-
wczasu skwitował i kto wie, czy przyjdzie
na ten sąd.

H a n i a (zdumiona).

Co wy mówita!? To ci dopiro... A on
co?

Z o s i a .

A nic, swoje robi. Jak tam chłopaki
kiejś mu to wymawiali, to im rzekł: „Da-
rujcie, ale nie zawracajcie mi głowy. To
moja rzecz i lepi będzie, jak mi nie będzie-
ta zabierać czasu!”

H a n i a (z podziwem).

Tak im rąbnął? — Co on zamyśla?

W s z y s t k i e .

Kto go tam wi.

Z o s i a .

Zobaczyma niedługo.

M a r y s i a (wpadając zadyszana).

Cicho, gęsi! Baśka w ogródku rwie
kwiaty, ale wygląda jak półtora nieszcze-
ścia, musimy ją tedy rozruszać, bo jeszcze

kipnie. Umyśliłam taki kawał: Sprzątnię-
ma wszystko ze stoła i pochowama się. Do-
piro ci będzie heca, jak zobaczy! Stanie jak
słup, oglądnie się, z duszą na ramieniu za-
cznie szukać, a my wtedy hura! na nią
z kiełbasami i butelkami! Morowe — co?

W s z y s t k i e (klaszcząc w ręce).
Dobrze, dobrze!

M a r y s i a (gwałtem uciszając).
Stulta gęby, do psa starygo! usłyszysz!
Do roboty, jazda! (zabierają się do sprzątniania)

Z o s i a.
Kiej nima gdzie tego wsadzić.

M a r y s i a.
Prawda, kiepsko! Czekałta, bierzta
wszystko do zapasek i jazda w krzaki przez
kuchnie. Ale butelki ostawta, bobyśta jesz-
cze potłukły. Ja tu się gdzie wcisnę, aby
wam dać znak. Marsz! (wychodzą, Marysia usta-
wia butelki na stoliku w rogu i przysłania je gałązkami,
mówiąc) Byczo! nie zobaczy zaraz. Trzeba te-
raz o sobie pomyśleć, (kreści się, naraz nasłuchuje,

wygląda oknem, cofa się) Masz, djable, kaftan! kolka tu niesie dwu chłopów! Co tu robić?... Trudno, chowam się. (włazi pod stół z butelkami i kończy rozbawiona) A to ci heca! ciekawe co z tego wyniknie? (słychać pukanie, wchodzi Onufry i Bartłomiej)

SCENA IV.

Onufry — Bartłomiej.

O n u f r y (wchodzi pierwszy i znakiem zaprasza Bartłomieja do siedzenia, sam stoi i rozgląda się, kręcąc głową). Fi, fi, fi! Co za parada, co za wystrój! Ale wysadzili się jak na przyjęcie samego biskupa! (zarozumiale) Widzisz, Bartłomieju, wiedzą co nam się należy. — (patrzac na stół) Nawet stół odpowiednio przygotowany!

B a r t ł o m i e j.

Co ta z tego? pusty jest i gospodarza tyż nie widać.

O n u f r y.

Mówilem ci, że jest, bom go przecie widział, jak konie łobzował na koniczyne za ogrodem. Poczekajmy chwile. (chodzi, myśli, nagle zatrzymuje się przed Bartłomiejem i trzęsac nim, mówi podniecony) Bartku, do djabła, cudow-

nie, że go niema, bo musimy się naradzić.
Doskonała myśl przyszła mi do głowy!

Bartłomiej (bez ciekawości).
Niby jaka?

Onufry (prawie z grozą).
Czy ty wiesz!? Całej harmonii naszych
wysiłków grozi najstraszliwszy dysonans,
to znaczy zniweczenie naszych planów, za-
miarów, wystrychnięcie nas na dudków,
pojmujesz? A my śpimy spokojnie! (biega
wzburzony)

Bartłomiej (nie rozumiejąc).
Co, jak? Gadajcie po ludzku, bo pa-
trzycie na to, jakbyście dostali kręćka.

Onufry (stając przed nim).
Nie rozumiecie nic? Prawda, to trudne
dla was, otóż słuchajcie: (wyglądając oknem i za-
glądając do kuchni, czy niema nikogo) Przyśliśmy
tu poto, aby, dopóki ta hołota się nie zbie-
gnie, pogadać sobie ze starym przy kiel-
szeczku po przyjacielsku, a tymczasem mu-
simy go dobrze zażyć z mańki, aby wyczuć
co on myśli. Bo coś mi się zdaje, że moje
czucie muzyczne wietrzy tu paskudne

oszukaństwo. (wyliczając na palcach) Nie podobą mi się jedno — to to, że Wojciech cały tydzień unikał mnie, choć go zaczepiałem, jak to ja potrafię; drugie, że ten chłystek, przybłęda coś za bardzo pewny siebie, kiedy nie dba o swe łapy; trzecie, że widziałem jak stara laźla z tym głupim mądrąłem do kościoła w zgodnym tonie. To oczywiście! oni tu knują jakiś podstęp, spisek, pojmujecie teraz?

B a r t ł o m i e j (pojmując słabo).

Aha! Co niby? — Myślicie, że uni chcą teraz kręcić? O tem godocie?

O n u f r y (zniecierpliwiony).

Nie „chcą“, człowieku, ale już kręczą! Wyłożyłem wam to, jak łopata, a wy jeszcze myślicie jak koń! Trzeba na gwałt coś radzić, trzeba ich uprzedzić, wymyślić jakiś na to sposób, rozumiecie!?

B a r t ł o m i e j (drapiąc się w głowę).

Radzić... radzić... Myślicie, że to tak łatwo, jak z rękowa wytrząsnąć... Po mojemu djabli z nim i koniec!

O n u f r y (zaperzony).

Djabli, djabli! Można się wściec na takie gadanie! Chcecie, żeby was ludzie palcami wytykali, żeście się pozwolili okpić, jak durnie? I takie wiano ogromne, co już macie w rękę, zagarnął wam z przed nosa jakiś obieży-świat, obwieś, a potem się z tego pysznił i głowę sobie wami suszył? Co?

B a r t ł o m i e j (podnosząc pięść).

Oho! Niechby ją ino otworzył i zadarł ze mną.

O n u f r y (szydlerczo).

Ano to siadźcie sobie i czekajcie, aż rychło to nastąpi, wtedy zobaczę, czy pięścią powetujecie sobie to, coście stracili.

B a r t ł o m i e j (chmurnie).

Tego nie mówię. Czego dogadujecie?

O n u f r y.

Jakże nie!? Nie powiedzieliście, że djabli z nim? Nie zaprzecie się chyba. (pojednawczo) Ostatecznie może być i „djabli“, ale wy właśnie musicie wyjść z tego z honorem, powinniście pokazać, żeście nimi wzgardzili, niech z nich ludzie szydzą, a nie z was!

I dlatego trzeba wymyślić coś natychmiast, co by mogło przekonać ludzi o ich łajdactwie, a ich psiakrew ukarać z miejsca!

Bartłomiej (jak wyżej).

Powiedziałem wam, za głupim na to!

Onufry (zły).

No, to na coście mądrzy, do kaduka!? Na bójki i awantury może!? Wiem, u was to jedyny środek, ale oho! jam znowu za mądry na to i ani mi się śni nadstawiać komu karku, a potem jeszcze może gnić z wami gdzie w ciupie. Ładny interes, ha, ha! (Bartłomiej rzuca mu złe spojrzenie — Onufry spostrzegając to)

Nie patrzcie się jak zbój, mówię co powinienem, aby wam dowieść, że taka gra warta świeczki i sam wam wynależę sposób, choć wcale mnie o to nie prosicie. A powinniście, bo (pokazując na czoło) tu jedynie macie nieprzebraną skarbnicę genialnych pomysłów, — poczekajcie jeno... (chodzi zamyślony, nagle uderza w dłonie) Brawo! mam wprost coś nadspodziewanego! (gorączkowo)

Słuchajcie: pozostawimy wszystko jak jest, udamy, że jesteśmy przekonani o uczciwości tego sądu i przystąpimy do niego

uroczyście i z całym namaszczeniem, a jak się tylko okaże, że Antek przegrał, to ja, jako sprawiedliwy sędzia i mściciel, wystąpię i oświadczę, że sąd nieważny, bo go stary wymyślił, aby Jaśkowi pomóc i z góry obaj ułożyli tak, jak wypadło. (zacierając ręce) Klasyczne, ha, ha!

Bartłomiej (drwiąco).

Aha! Dadzą wam się tak zaro nabrać — czekojcie.

Onufry (niecierpliwie).

Nie przerywaj, nie skończyłem jeszcze.. Na dowód prawdziwości mojego oświadczenia — przeczytam im zeznanie świadków, którzy podsłuchali Piotra i Jaśka, jak tajemnie naradzali się z sobą nad wszystkim. Świadcami będziecie: ty i twój Kuba, parobek, który za butelkę wódki zaprzysięgnie nawet na to. Rozumiesz mnie teraz, bracie? He? damy im takiego psztyka w nos, że krew ich zaleje ze złości; zobaczysz!

Bartłomiej (z podziwem).

Cholerny z was meches, psiakruszka!

Onufry.

Checieliście pewno powiedzieć: mędrzejasnowidzący, co nawskroś przenika czyje zakusy. Ale nima o czem gadać, pochodź sobie teraz, a ja siądę i spiszę ten akt prawdy, póki mam go świeżo w myśli i nikt nie przeszkadza. (patrzac na zegarek) Zdążę go jeszcze w domu przepisać na czysto. (Bartłomiej wstaje, Onufry siada, wyjmuje z kieszeni papier i ołówek i pisze z przesadnymi ruchami głowy i oczu w takt myśli.)

Bartłomiej (chodzi, z ciekawością przypatruje się przybraniu izby, aż zbliża się do stoliczka, gdzie ukryte butelki z napitkiem, zaciekawiony odchyła gałązki i wykrzykuje) He, he!! hulaj dusza! Tu ci dopiro...

Onufry (zły, nie podnosząc głowy).

Cicho! Nie rozpraszaaj mi myśli, bo jestem przy końcu!

Bartłomiej (do siebie).

Dobrze, że nie przy początku, boby to świadczenie djabli wzięli. (czeka spokojnie)

Onufry (skończywszy).

Uf!! A tom się zmachał! Nie ciekawicie postłuchać, com napisał?

Bartłomiej (tym samym tonem).

Nie ciekawiście zobaczyć, com wyma-
cał?

Onufry (zrywając się jak podrzucony).

Hurra! Oblejemy, jak się patrzy, nasze
świadećtwo (wyciąga rękę po butelkę)

Bartłomiej (cofając rękę).

Hola! Nie przeszkadzaj, bo jestem przy
końcu. O! (wyciąga korek)

Onufry.

Ha, ha! Bartku! Jesteś byczy!

Bartłomiej.

W wasze ręce! (pije prosto z butelki i potem
daje organiście)

Onufry.

Sto lat zdrowia! (pije)

Bartłomiej.

A co? Jak miód, psiakręć, ale pijta ży-
wo, bo kto wliwie.

Onufry (przerywając picie).

Pilnuj drzwi! (pije znowu, Bartłomiej podcho-
dzi do drzwi i otwiera je na wchodzącą Basie)

SCENA V.

Basia — Onufry — Bartłomiej.

B a s i a (przestraszona).

O Jezu! Kto tu?..

O n u f r y (gwałtownie pcha butelkę do kieszeni).

A do stu tysięcy...

B a r t ł o m i e j (powoli zasłaniając jej wejście).

Swój, nie widzisz?

B a s i a (chłodno).

Widzę, ale przeleżałam się was zrazu.

B a r t ł o m i e j (złośliwie).

Takim ci straszny?

B a s i a (wymijajaco).

Napróżno przyśliście, sama jeno jestem w domu!

O n u f r y (podchodząc do drzwi).

Moje uszanowanie pannie Basiuni!
Nam najmilej będzie w jej towarzystwie.
Proszę, proszę tylko do pokoju, do nas, bo
choć tu tak pięknie, smutno nam bez niej.

Ale jakie śliczne kwiateczki! Narzeczony
chyba zemdleje ze wzruszenia.
(Basia wchodzi i widząc pusty stół, słupieje)

Bartłomiej (do organisty).

Widzisz? teraz się ciebie wylękla.

Onufry (zasłaniając ręką kieszeń z butelką).

Co się tak panna Basia patrzy?

Basia (surowo, wskazując na stół),
Gdzie się to podziało, co?

Onufry i Bartłomiej.
Co!?

Basia (gniewnie).

Nie strójcie żartów, pytam się coście
zrobili z całą zastawą?

Onufry (zdumiony).

Z jaką zastawą!?

Bartłomiej.

Przywidziało ci się coś pewnikiem.

Basia (jak wyżej).

Mówię wam, nie udawajcie głupich, —
cały stół był zastawiony jedzeniem, a te-
raz nima nic. — Gadajcie zaraz!

O n u f r y (jak wyżej).

Cały stół?

B a r t ł o m i e j.

Krećka dostała, czy co?

O n u f r y (spostrzegając się).

Ależ, dziewczyno, nie wiemy o niczem! Stół zastaliśmy już pusty i żywego ducha nie było w domu! Widać ktoś przed nami psotę jakąś zrobił, albo ukradł poprostu.

B a s i a.

Nieprawda! kłamiecie! to wyście to zrobili. (przez łzy) Takie stare dziady oba, a głupie figle ich się trzymają!

B a r t ł o m i e j (zły).

Słyszysz ty!?! Kiej tako zoraza — idziem!

O n u f r y.

Czekaj!... Widzę, żeśmy się tu niechcący w ładny kawał wplątali. (napuszenie) Nie winnych i przyjaciół posadza się o kradzież i zabija obelgą. Bo przecie odebranie honoru, to to samo, co zabójstwo! Okropne!

B a s i a.

Nie mówię, żeście ukradli ino schowali!

O n u f r y (jak wyżej).

To także obelga, moja panno, bo sztyderstwo z naszej powagi i sędziwego wieku!

B a s i a.

(spozstrzegając butelkę w jego kieszeni, pogardliwie).

Taak? A co ta butelka robi u was w kieszeni? Będziecie jeszcze się wypierać!?

O n u f r y (mieszając się).

Jaka butelka? co? — (opanowując się) Ach ta? (do Bartłomieja) Widzisz, przyjacielu? Nie-szcześnie widocznie chciało, że nasza butelka, którąśmy przygotowali na wypicie zdrowia zwycięzcy, podobna do tamtych i teraz gotowi naprawdę nas posądzić o kradzież. (unosząc się dumą) Nie, nie wyjdę stąd, dopóki nie znajdę czegoś na nasze usprawiedliwienie. (chodzi, udając, że szuka)

B a s i a (uszczypliwie).

Szukajcie, zobaczę —

Bartłomiej (na stronie).

Przemyślny jucha, jak sam czort.

Onufry (niby dopiero spostrzegając stolik).

Coś mnie tu ciągnie. (odslania tryumfująco)

Proszę! Oto dowód niewinności naszej i śmiesznego figla, jaki wam ktoś inny wypłatał! Proszę nam teraz zwrócić honor, panno Basiu! (przykrywa butelki)

Basia (podbiegając do stolika).

Czekajcie ino!... (liczy butelki) Widzicie, jakiś kłamczuch paskudny! Brak jednej i to tej, zaraz poznałam! dawajcie.

Onufry (niby wściekły).

A do stu tysięcy cymbałów roztrajkotanych! Tego już za dużo! Piekło się chyba na nas uwzięło... Chodźmy, Bartłomiej! (od drzwi, grożąc) A zażądamy porachunku, jak się wszyscy zbiorą! (wynoszą się)

Basia (za nimi).

Możecie wcale nie przychodzić! (ze wstętem)

To gad szkaradny, a nie człowiek. Chciałoby się go zdeptać jak robaka. (po chwili) Ale kto to urządził ten psikus? Że nie oni,

pryki, jestem pewna, choć skradli jedną butelkę. (załamując ręce, idzie do stolika) Co ja teraz pocznę, bidna? Co ciotka powie?.. Boże!..
(zagląda pod stół)

M a r y s i a (chwytając ją za głowę).
Huuu!

B a s i a (odskakuje z krzykiem).
O Jezu!!

M a r y s i a (wylażąc).
Ha, ha, ha! Baśka!.. ha, ha, ha! Bo pęknię ze śmiechu! ha, ha, ha!

B a s i a (z wyrzutem).
Ach, ty warjatko jakaś! Toś ty pewno wszystkiemu winna? Tyle mi strachu i zmartwienia narobiła! Że mi też od razu do głowy nie przyszło...

M a r y s i a.
A gdzieby ci się to zmieściło, kiej tam Jasek siedzi z rękami i nogami? Dziw, że ci tej łepetyny jeszcze nie rozsadził...

B a s i a (gorączkowo).
Nie błażnuj, ino dawaj, coś pochowała, bo zaraz zaczną się schodzić!

M a r y s i a (rozsiadając się).

A ba! Juści się naustawiałam. Poczekaj, trza wpierw odpocząć, bo nóg nie czuję, tak mi styrgły tam w tym schowku.

B a s i a.

A pocoś ty tam włąziła?

M a r y s i a.

Hale, głupia! Miałam ci się zara pokazać, żebyś się wszystkiego domyśliła?
(tajemniczo) Ale wiesz? Dobrze, że się tak stało, bo niechcący wysłuchałam, co te pierniki uradzili. Mówię ci, mało mnie szlak nie trafił, choć i śmiać mi się chciało tak, że dłuży-bym nie była wytrzymała.

B a s i a.

To oni cię nie widzieli?... Cóż gadali?...

M a r y s i a.

Nie widzieli, boby się do wódki nie dobrali, a co uradzili, obaczysz sama. Powiem ci ino, że nie, a nie się nie bój i nie wydaj mnie, że wiem o tem. — No, tera do porządku! Ty zrób bukiet, ja poprzynoszę jedzenie!

B a s i a (z trwoga).

Marychno, ty mnie ino tak zwodzisz dla pociechy, ale pewno coś mocno złego? Powiedz!...

M a r y s i a (niecierpliwie).

Hale, zwodziłabym ją!... Jakby było źle — przewróciłabym wszystko do góry nogami, widziałabyś. Wierz mi i nie rób taki mi-ny, jak ciele pod rzeźnią. Jazda! zwijajma się! (wybiega)

B a s i a (wzdycha, bierze kwiaty i wychodząc, mówi).

Bóg nade mną. (tuląc twarz w kwiaty) Zaraz dam wam wody, kwiatuszki moje. (przez chwilę scena pusta, potem wbiegają dziewczęta)

SCENA VI.

Marysia — Frania — Zosia — Basia.

M a r y s i a (głosem nakazu).

Dali go! Ustawiajta wszystko, jak było!

F r a n i a.

Ale opowiadaj, jak było!?

Z o s i a.

Wystraszyła się Baśka?

H a n i a.

Co mówiła?

F r a n i a.

A poco tu byli ten łapidusza i łupi-
skóra?

H a n i a.

Ażem struchlała, jak zobaczyłam, że tu
liza. Myślałam, że się już nie uda.

Z o s i a.

Chciałyśmy już nie czekać, ale przyszło
mi do głowy, że nima nikogo, to sobie pój-
dą rychło i siedziałyśmy dalej.

F r a n i a (niecierpliwie).

Nu, gadajże!

M a r y s i a.

Tra ta, ta, ta, ta! Jeszcze gorzy wrze-
szcza. Nasiadły na mnie jak sroki i jedna
przez drugą, jak nakręcune. Aż w uszach
trzeszczy. Marsz do roboty! późni wam
opowiem. (zabierają się do ustawiania)

B a s i a (wchodząc, staje zdumiona).

W imię Ojca i Syna!... A was się skąd
tyle naraz wzięło!?

W s z y s t k i e.

Ha, ha, ha!

M a r y s i a.

Powiem ci krótko: Myśmy wszystkie
cd razu przyszły, ino one pochowały się
z tem w krzaki, a jaostałam tu, aby na
czas ich zawołać.

Z o s i a.

Coś ty pomyślała, Baśka? Że co się
stało?

B a s i a.

Pomyślałam, że to Onufer z Bartkiem
to zrobili, bo zobaczyłam jedną butelkę
wódki u nich w kieszeni, ale się wyparli, ze-
żlili i poszli. Potem wylazła Maryśka
z ukrycia i wydała się prawda.

F r a n i a.

A gdzie una siedziała?

B a s i a.

Tam, pod stolikiem!

Z o s i a (do Marysi).

I wytrzymałaś tak długo?

M a r y s i a.

Przyznam ci się, że ledwo, ledwo.

W s z y s t k i e.

Ha, ha, ha!

Z o s i a.

Ale ci jeszcze większa heca wyszła!
ha, ha, ha! I oni cię nie zobaczyli?

M a r y s i a.

Nie, choć patrzyli, żeby ich kto nie podsłuchał, ale na ich nieszczęście wiem wszystko i zobaczyta, co z tego wyniknie!

W s z y s t k i e.

A co? co?

M a r y s i a.

Powiedziałam, zobaczyta, to dosyć!
Tylko język za zębami! pamiętajta, choćby
— nie wiem jak — chciało wam się gadać.
Nawet ze sobą nie rozmawiajta, aż powiem,
bo chodzi o sprawiedliwość i Basię!

W s z y s t k i e.

Dobrze!

Z o s i a.

Coś mi się śni, że zanosi się na więcej ciekawości.

M a r y s i a (widząc Basie, patrzącą z niezrozumieniem po wszystkich).

A mnie coś tam w środku aż piszczy, że wszystko skończy się tak, że zawczasu chce mi się skakać! (łapie Basie i krećąc się, śpiewają)

Śpiew nr. 5.

Oj, smuci się Baśka
O swojego Jaśka,
Ale niema czego,
Bo pójdzie za niego.
Oj dana!

W s z y s t k i e.

Oj dana, oj dana!... (przyśpiewują i tańczą)

B a s i a (wyrwawszy się Marysi).

Dziewuchy! nie tańczujta, bo aż mi się straszno robi, że tak nie będzie! pomyslijta ino...

M a r y s i a (przerywając).

Nima głupich! Indor myśłoł i mu łeb urznyli!

W s z y s t k i e.

Ha, ha, ha!

B a s i a (smutno).

Co tam z wami gadać...

M a r y s i a.

Może się z tobą smucić? He! nima czego!

B a s i a (jakby do siebie).

Pewno, że wy nie macie, a ja?... (ocierając łzę)

M a r y s i a (obejmując ją serdecznie i sadzając przy sobie na ławie, mówi czule i żartobliwie).

Basidło, smęcidło moje! Kochane i rozplakane, daruj! Ja cię przecie nie chcę smucić ino rozweselić trochę, bo wiesz sama jak cię lubię. A że bzikuję — to nic. Ty masz wiele smutku, ja wesołości, to jakoś to w jedno wchodzi i dobrana z nas para! (nagle) A wiesz co ci powiem? Puść ty tych swoich gachów w trąbę i wydaj się za mnie! Mówię, taka będzie z nas mąż i żona, że świat gębę rozwali jak wrota! Morowa myśl, jak babcię w trypciach kocham!

W s z y s t k i e.

Ha, ha, ha!

B a s i a (odpychając ją ze śmiechem).
Idź sobie, ty głupia!

M a r y s i a.

A bo ja chcę!?! Chłopoków co ino nie
widać z muzyką. (słysząc zdala oberek, Marysia
skacze na równe nogi) Słyszycie!?! Idą!! Baśka,
nie wytrzymam! (chwytając ją)

B a s i a (wyrывая się gwałtownie).

Dajże pokój, szalapucie! Nie widzisz,
żem nie ubrana!?!

M a r y s i a.

To wal do komory! Jazda! już cię
nima! (wypycha ją do kuchni)

SCENA VII.

Jędrak — Szymek — Józef — Stach
Marysia — Zosia — Frania — Hania —
Basia i muzykanci
(mówią).

Niech będzie pochwalony!

D z i e w c z ę t a.

Na wieki, wieków!

J ę d r e k.

O! widzita je? Naprzód się tu zleciały,
sroki jakieś.

M a r y s i a (uszczypliwie).

Oooo! Miałym może za wami czekać,
gawrony!?

D z i e w c z ę t a.

Ha, ha, ha!

S t a c h.

A pewno!

J ę d r e k.

Przyślibym wszyscy w kompanii, jak
przystało.

M a r y s i a.

Kichniem na taką kompaniją!

Z o s i a.

Obchodzita nos tyle, co zeszłoroczny
śnig!

F r a n i a.

Może wom się smak rozejść po ko-
ściach!

H a n i a.

Nie potrzebništa nom do szczęścia.

Marysia (wzruszając ramionami).
Uni tam i szczęście...

Jędek (przedrzeźniając).

Krra! krrra! krrra! Myślałby kto, że
to prawda! ha, ha, ha!

Dziewczęta.

A żebyśta wiedzieli, że tak!

Jędek.

Wima, wima, że mało oczu nie wypa-
trzyta za nami!

Stach.

I mało wam dusza nie wyskoczy z ra-
dości, jak nos widziła!

Szymek.

A jak z wami pogadać, roześmiać się
tośta takie rade, jakby wos kto na sto kuni
wsadziuł!

Józek.

A niechby z nos który kiwnął palicem,
że do ołtarza — wszystkie by naroz leciały!

Marysia.

O, ci się dopiero wymądrzył!... Ha, ha!
Dowcipny taki, że krowa by się uśmieła.

W s z y s c y.

Ha, ha, ha! Dobrze ci!

Z o s i a.

Spróbujta ino tak kiwnąć.

F r a n i a.

A zobaczyta, że stoim o wos tyle, co
pies o piątą nogę.

M a r y s i a.

Dajta pokój, dziewczuchy! Szkoda o nich
języka strzępić. Myślą se, że jedni są; a ta-
kiego kwiatu, to jest pół świata! chłopcy traca
pewność siebie i kręcą się

J ę d r e k (zaglądając Marysi w oczy przekornie).

Myślisz tak naprawdę, Maryś, co?

M a r y s i a (ostro).

A coś ty myślał? na żarty?

J ę d r e k (szczerze).

Nu pewno, bo i my przecie ino żarto-
walim, a naprawdę — dalibym się porąbać
za was!

C h ł o p c y (ochoczo).

To się wi! (zbliżając się do dziewcząt, rozmawiaja
serdecznie i w zgodzie)

Jędr ek (pochylając się nad Marysią i biorąc jej rękę).
Lubisz mnie trochę, Maryś złota, co?...

Marysia (wyrывая rękę).

A wej go! Na mazgajstwo mu się zebrało. Odstaw się!

Jędr ek (cofając się).

Widzę, naprawdę coś zhardziałaś dzisiaj...

Marysia.

A ty zdurniałeś!

Jędr ek (poważnie).

Nie zdurniałem, ino mówię z serca, a ty ino uwzięłaś się tak na mnie teraz... (z żalem i prośbą) Czemu tak?...

Marysia (hardo).

Bo mi się tak podoba i już!

Zosia.

Nie wierz jej! Łże! Zmówiła się dziś z innym i bez to tak do ni bez kija nie dostępuj.

Jędr ek (bez tchu).

Coś powiedziała?... Ty łżesz!

Z o s i a (drwiąc).

Spytaj się jej samej, abo dziewczuch, to zobaczysz, czy żelgałam.

J ę d r e k (z rozpaczą chwytając Marysię za rękę).

Maryśka! ona łże, powidz!

M a r y s i a (niby smutno).

Prawdę mówi. Czemuś pierwszej nie pokłonił się ojcom o mnie?... Teraz już klamka zapadła...

J ę d r e k (gwałtownie).

Maryśka, przestań! bo chyba łeb sobie o ścianę rozwalę! (dapie się za włosy i biega)

C h ł o p c y (biegnąc ku niemu).

Jędrek! Co mu się stało!?

Z o s i a (powstrzymując ich).

Cicho! Głupi żart ino, a un myśli, że prawda. (opowiada im cicho)

J ę d r e k (stając nagle).

Powidz, kto jest ten... ten... twój...

M a r y s i a (spokojnie).

...mój kochany? Nie powiem — jeszcze jemu łeb rozwalisz.

J ę d r e k (z bólem).

Nie zrobię mu krzywdy, kiej miły ci...

Chcę ino wiedzieć...

M a r y s i a (z zapalem).

O! miły mocno, Jędrku! nazywa się

Basia!

J ę d r e k (słupieje).

Co?... Basia?...

W s z y s c y (wybuchają).

Ha, ha, ha! To ci go nabrała!

J ę d r e k (domysławiac się, skacze

ku Marysi w szale radości).

Maryś! Maryś moja! Pomóż, bo osza-
leję z radości! (chwytając ją w ramiona) Muzyka!
siarczystego! Niech się chałupa wali!

M a r y s i a (wyrrywając mu się).

Puszczaj! bo ci się zaraz klepki we łbie
rozlatują, jak w starym kuble! (muzyka zaczyna)
Cicho na Boga! (do Jędrka) Chcesz, żeby Baś
jeszcze większą żalność robić?

W s z y s c y (stając).

Prawda!!

J ó z e k.

Wytańcujema się jeszcze potem!

S t a c h (na Jędrka):

Kiej ino jemu się tak zachciało!

J ę d r e k (łapiąc się za czub).

Zapomniałem z tego wszystkiego... Daj mi złoto moje, szalona pałka ze mnie. Pamiętaj, trzymać mnie krótko, ale dobrocią, to wtedy koło palca mnie sobie owiniesz.

M a r y s i a (z uśmiechem).

Dobrze już, dobrze! Cóż tam Jasiek? Nie wita co myśli i robi? Gadają różnie.

S t a c h.

Abo to można co wiedzieć? Jakby mi gębę zamurował i przez cały tydzień harował — jak na złość — za dziesięciu!

J ó z e k.

A Antek niczego się nie tknął ino po pięć razy dziennie łapy wycierał, w rękawicach spacerował i wyszczyrzał z niego.

S z y m e k.

A gadają ciągiem jedno, że kto wi, czy
dzisiaj się tu pokaże, bo o wygraniu nima
mowy.

J ę d r e k (stanowczo).

Ja tam w to nie wierzę! Za mądry on
i za mocno Basię miłuje, żeby coś nie wy-
myślił. A choć tyle wiem co wszyscy — to
jednak pewny jestem, że przyjdzie i wygra!
Widziałem go dziś w kościele, tak się modlił
żarliwie, że aż dziw. A wracał wesoły jak
ptak.

M a r y s i a.

Ja tak samo myślę. Choć to nielada sęk,
a w sęku dziura, prawdziwie!

Z o s i a.

Żeby to się już zaczęło... Doczekać się
nie mogę. (za sceną gwar)

S t a c h.

O! zaczyna się!

H a n i a (przy oknie).

Starzy idą!

SCENA VIII.

Jędrak — Szymek — Józek — Marysia
(wchodzą):

Jagna — Wojciech — Piotr — Katarzyna
— Tekla — Bartłomiej — Onufry
Maciej — Paweł.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Dziewczęta i chłopcy (razem).
Na wieki wieków. Amen!

Paweł.

O! młodzi już są!

Onufry.

Ba! Młodość, moi drodzy, jak na skrzydłach spieszy do muzyczki, zabawki, hulanki, dziewczuszek, ha, ha. (klepiąc Jędrka) Prawda, kochasiu?

Jędrak (drwiąc).

Ale wos starość niezgorzy ciągnie do butelki, co?

Onufry (pochylając się do ucha).

Ha, ha, ha! Utrafiłeś w sedno, brachu! Znamy się po cholewach.

Wojciech.

Rozgośćta się i siadajta, sąsiady. Jest na czem.

Onufry (mlaskając językiem).

I koło czego! Specjały, dalibóg, aż oczy bolą patrzeć. (starsi siadają, młodzież rozmawia)

Jagna (wdzięcznie).

A proszę, proszę! Nie na patrzenie przecie ponastawiane.

Wszyscy.

Dziękujema!

Maciej.

Zdążyma, nie spieszy nam się.

Wojciech.

Ale już po podwieczorkach. Jeść się chce!

Paweł.

Przy niedzieli, człowiek się nie narobi, to i nie czuje głodu.

Tekla (patrzac po stole).

Aleście się wysadzili, Wojciechowo, ho, ho!

O n u f r y.

Przecie powiedziałem... To uczta! uczta królewska!

P a w e ł.

Bo i gospodarze, jak się patrzy.

K a t a r z y n a (patrzac po izbie).

Ale jak to wej izba wystrojona ślicznie! Czysto, zielono — pachnie jak na świecie w maju. Aż wydaje się, że w duszy coś dobrego rośnie.

P i o t r.

Nie wydaje się, Katarzyno, ino tak jest naprawdę. Bo widzicie, moi kochani, umiłowanie porządku i piękna robi człowieka czystiejszym, lepszym, szczęśliwszym i bliższym Bogu.

W s z y s c y (z przekonaniem).

To słusznie!

K a t a r z y n a.

To się ino tak nie dba, toby przecie w każdy chałupie tak być mogło. Ale człowiek zahyro się w te robotę, zadudle i nawet nie pomyśli, nie wi — coby dla niego mile i z pożytkiem było.

M a c i e j.

Ja ta jeszcze powiem, że i nie chce mu się przez marne lenistwo. Bo ile to wolnego czasu się przeleni, przewałęsa, przekiwa, przegada i przepije z drugimi, toby bez mała drugie tyle zrobiuł. A tak? — Wszystko napróżno, bo cò z tego?

P a w e ł (żywo).

Co? Wiadumo! Gałgaństwa, herezje...
(machnąwszy ręką) Co ta nawet gadać, same grzeszne myśli i uczynki!

B a r t ł o m i e j (głupowato).

Hy, hy! A jakbyś ty chciał żyć?

P a w e ł (ostro z wyrzutem).

Widzę, drwisz sobie jeszcze, co? Jak żyć? Pytaj Piotra, co cały żywot przeżył, jak Bóg przykazał i najmądrzy prawi, bo ja chocia tam czuje, w gadaniu nieskładny jestem!

T e k l a.

Oj, to prawda! Nikt tak nie potrafi, jak wy, Piotrze, i jak mówicie, słuchaćby się chciało bez przestanku.

K a t a r z y n a (proszaco).

Mówcie, Pietrze kochany, pouczcie nas trochę, tak mało kiedy jestema razem, a przyda nam się. Człowiek do śmierci rozum się uczy i mo go nie za wiele. Powiedzcie — co?

J ę d r e k.

Prawcie, dziadziu nasz stary, i my posłuchama. Tyle mądrości macie i tyle wicie...

P i o t r (zakłopotany i zawstydzony).

Ja? Ludzie, co wy myśłita!? Nie godzi się tak nawet gadać. Czyżem to ja uczony? Na książce z wielkimi literami ledwo ta słabizuję, a do tego starość myślenie mroczy. Zresztą, moi kochani, jam jest z dawnych czasów, a wy z dzisiejszych, kiedy oświata dotarła wszędzie, a nierzadko z was który młody umie więcej i mędrszy jest jak jego dziady.

S t a c h.

Mędrszy, panie, ten, co się uczy, ale my roboki, ledwo odrośniem — w ziemi musim się grzebać od świtu do nocy, a na naukę i czytanie nie ma czasu, książki tyż drogie.

P i o t r.

Są i tańsze dla was, mój chłopcze, i czas przy dobrej woli znaleźć się znajdzie. Ale czy to — myślisz — człek się ino z książki uczy mądrości wszelakiej i dobrego? Mówię ci, że czasem ten, co szkoły wielkie skończy, a nawet książki pisze, lichszy jest od tego, jakęś rzekł, robaka. Bo widzisz, dziecko, wielkość duszy, prawość sumienia, bystrość rozumu, dobroć serca — kształcą, nie ino książki pisane, ale księgi żywe, dane nam od Boga.

S t a c h.

A gdzie te księgi?

J ę d r e k.

Jakie to?

P i o t r (smutnie się uśmiechając).

Nie wiecie? (w zamyśleniu) Za moich czasów wiedziały o nich dzieci małe, choć ta rosły prawie dziko, jak to kwiecie polne... (po chwili) Ha, może dlatego właśnie, że innych nie znały — sercem własnem poznawały tę i więcej się z nich uczyły. Teraz pewno zapomina się o nich...

J ę d r e k (z ciekawością).
Ale mówcie już, gdzie one?

P i o t r.
Te księgi? Wokoło was, nad wami
i pod wami.

W s z y s c y.
Jakże to?

O n u f r y (pokazując na czoło).
On coś tego...

P i o t r.
Patrzcie się jeno na słońce, czy ono
was niczego nie uczy?

O n u f r y.
Ha, ha, ha! Co pleciecie!? Bo to słońce
ma rozum i mówi?

J ę d r e k (zły).
Głupiście, panie Onufer! Ja wiem —
uczy nas kochania!

P i o t r (radośnie).
Dobrze pojmujesz! Uczy nas miłować
prawdziwie i jednakowo, jak możnych, tak
bidaków, jak wielkich — tak i małych, jak

dobrych — tak złych nawet. Wszystkich, dziecko, i wszystko bez wybirki. Bo z wysokiego nieba świeci i grzeje całemu światu i mówi, że tak samo, jak w jego jasności cieplej może się ino rozrosnąć i kwitnąć wszystko, tak w miłowaniu bratnim życie wśród ludzi szczęściem się zazieleni. A późni, synu, popatrz na rośliny: Wszystkie one, czy ręką Boga, czy ludzi — posiane, rodzą się, rozmnażają i, posłuszne swej porze, rosną pracowicie, cicho, na pożytek innym i króla swego — człowieka. Czy to tyż nie nauka dla nas, że powinniśmy tak samo w posłuszeństwie dla prawa pracować zgodnie, uczciwie i żyć na pożytek Ojczyzny, braci, a chwałę Najwyższego Króla Boga? A spojrzysz na wszystko razem. Czy widzisz, żeby coś na świecie żyło samo, osobno? — Nie! Słońko na niebie krąży z gwiazdami i księżycem, rośliny rosną z innemi, zwierzęta żyją gromadą i tak ze wszystkim. A czemu tak jest? Bo widzisz, chłopcze, ta mała pszczołka, a jeszcze mniejsza mrówka — uczy nas, że wszystko ma swoje przeznaczenie w świecie, dla niego żyje i pracuje po swojemu, jak najwięcej,

żeby nie zginać, a rozrosnąć w siłę i mnogość jak najbarzy. I my tak powinniśmy żyć, bo tyż mamy swoje przeznaczenie w świecie wielkie i święte, co się nazywa Bóg i Ojczyzna!

Takie to są te księgi żywe, moje dzieci, nie będę wam z nich gadał dalej, bo kiedy w wolnej chwili siądniecie se i podumacie, to każdy kwiatusek, każdy kłosek, każdy kamyk przy drodze, każdy kurhan, poszum wiatru, oddźwięk boru, czy szemranie wody, czy inne jakie głosy stworów Bożych — powiedzą wam więcej. Patrzcie na wszystko, nie ino oczami, ale i sercem i uczcie się, pomagając sobie do tego dobrą książką — to zrozumiecie i będziecie umieli więcej, jak chcecie. A jeszcze, moi drodzy, rozważajcie często na dziesięcioro przykazań Bożych, czyńcie i postępujcie wedle nich, łączcie się tyż w stowarzyszenia dobre, młodzi w swoje, a starzy w swoje, — uczcie się w nich jedności, pracy wspólnej, chętniej i uczciwej, każdy w swoim zawodzie, czy to będzie pióro, pług, warsztat, albo handel, — potem cnoty, a nadewszystko kochajcie całem sercem ziemię, swą macierz i siebie

wzajem, wierzcie w Boga — to zbudujecie Polskę taką wielką i mocarną, a w niej szczęście własne, — że wam ich nie nie zmoże! (chwila dłuższego milczenia)

M a c i e j (z namysłem).

Tak... prawda. W ten sposób — to pewno, że Polska nasza — byłaby jak mówicie. Ale powiedzcie, Piotrze kochany, czemu to ludzie uczone i mądre takie, co rządzą nami, tak nie rozumują i nie robią? Czyby tego nie wiedzieli i nie czuli? — Mnie to się w głowie nijak pomieścić nie chce!

P i o t r.

Myślę, że rozumują, czują i tego samego chcą, ale przemyślniejszemi sposobami starają się dojść do tego.

P a w e ł.

To wcale nie dojdą! Sposób powinien być jeden i zgoda na niego jednakowa. Bo na ten przykład, niech moją gospodarką rządzi kilku, a każdy chce inaczej, to ino będą swary, spirki, obraza Boska i djabli ją w końcu wezmą! A przecie w sejmie tak się dzieje?

P i o t r.

A dzieje — na nieszczęście, ale widzicie, Pawle, gospodarka Polski, to nie łatwa rzecz, bo w niej są i niepolacy. Mają swój głos i swoje prawa, a nastają na zgubę naszą, więc to idzie jak z kamienia. Tem bąrzy, że sam naród pozwoli się tumanić, słucha i popiera wrogów, a patrzy tyż, by mu lekko i darmo coś od razu wielkiego się dostało, a kiej nie — to przeklina i narzeka. Zapomina o tem, że tej Polsce powstałej z grobu wpierw dać wiele i nie oglądać się na kogoś, ale dać przykład i od siebie zacząć.

J ę d r e k (z zapalem).

A czy nie? — Dobrze, żeście nam otworzyli oczy, Pietrze, już my się zabierzem do tego i pokazema ludziom! Prawda, chłopaki!?

C h ł o p c y.

Oho! nie polenim się!

J ę d r e k.

Nie takie my, co same zbytki mają w łbie, zawiążem zara Stowarzyszenie Młó-

dzieży Polskiej, Jaska wybierzem na prezesa naszego i, da Bóg, będą z nas ludzie!

K a t a r z y n a.

Ba! Żeby to tak wszyscy!

P a w e ł.

Nie od razu Kraków zbudowano! Niech się ino oni ruszą, to niedługo cała okolica pójdzie za nimi, a potem dali i dali! Przecież miejscami są już takie kółka, słyszeć o tem!

M a r y s i a.

My też, dziewczuchy, zrobima swoje kółko i postarama się, żeby najlepsze z nas gospodynie i Polki były!

D z i e w c z ę t a.

Nie dama się ostawić w tyle!

S t a r z y (wzruszeni).

Daj wam, Boże — pomożema wam!

O n u f r y (z pośpiechem).

To może na zaakceptowanie i przypięcie takiej uchwały godziłoby się paść, co? Będę służył! (łapiąc butelkę) Baa! Ale kieliszka niema.

J a g n a (zrywając się).

Adyć słusznie! Basia pewnie przepomniała... Gdzie ona? (zwracając się ku kuchni)
Moje ludzkie kochane! ino nie róbtą mi wstydu. — Możeta przecie i przy jedzeniu radzić!

B a s i a (wchodząc z kieliszkami).

Już niosę!

J a g n a (odbierając od niej).

Kajś ty się podziewała? Tu wej tyła mądrych rzeczy uradzilim!

B a s i a.

Słyszałam wszystko, bo przebierałam się w kuchni. (idzie do młodych)

W o j c i e c h.

Zaczynajcie, panie organisto, potraficie to najlepi!

M a c i e j.

Dajma lepi pokój!... Nijako tak jakoś bez tamtych i przed taką ważną rzeczą.

O n u f r y.

Ale...

P a w e ł (stanowczo).

Nie, nie! Zaczekama, nie godzi się i basta! Wojciech prosi, bo chłop gościnny, ale sami wiedzieć o tem powinni.

O n u f r y (do siebie).

Żebyś się udławił tem swoim „nie“, cymbale! (głośno) To poczekajcie, pobiegnę po nich, czas już najwyższy, by byli! (wybiega)

K a t a r z y n a.

Słuchajcie, Piotrze, chciałabym jeszcze wiedzieć, co wy myślicie o taki rzeczy: Nie baczę kiej i gdzie, ale słyszałam, jak jakiś tam długo prawił i pouczał, że to źle, jak się miłuje Ojczyznę, bo według tego, co uczy Chrystus, wszystkich ludzi na całym świecie trza kochać i więcę jeszcze.

P a w e ł.

To się ciągiem słyszy, że na języku i w sercu nie powinno być Polski ino ludzkość.

P i o t r (myśląc chwilę, jakby do siebie).

Tak prawia?... Hm, hm... Juści nie muszą to być dobre Polaki... Hm... ale

sprytnie dranie wymyślają! Gotowi jeszcze wznowić, że Chrystus wrócił na świat i gdzieś jest, jak zapowiedział.

K a t a r z y n a.

Gadajcie wyraźnie, mój złocisty!

P i o t r.

Widzicie, kobieto... nie mówią oni od rzeczy, bo prawdą a Bogiem — każdy naszym bliźnim, ale jeśli chodzi o miłość Polski, to rzecz ma się inaczej.

W s z y s c y.

Mówcie, mówcie!

C h ł o p c y.

Okrutna ciekawość nas pali!

K a t a r z y n a.

Mnie tak to wlażło w głowę, że ciągiem o tem myślę.

P i o t r.

Słuchajcie, matko, powiedzcie mi jeno: Kiejżeście więcej lubili dzieci i litowali się nad nimi, czy jak byliście panną, czy jak Pan Bóg dał wam swoje?

K a t a r z y n a.

Nu pewno, że wtedy, jak miałam swoje! Jak byłam dziewczuchą, to mnie ta nawet nie obleciały. Nie cierpiałam dziecioków, a dzisiej lubie nawet czy ją malotę.

P i o t r.

A widzicie! Bo miłowanie innych rodzi się z miłości do swoich. Co tu tedy gadać o większym ukochaniu obcego narodu, jak swój rodzony? To głupie wymysły! Jeżeli najmocni, najserdeczni po Bogu nie będziem miłowali swoich braci, swojego kraju i w staranie o niego i jego szczęście nie będziem kłaść całej swej duszy i ochoty — to nigdy nie poczujem serca dla obcych, ani będziem wiedzieli, co trza dla nich dobrego robić. Przez miłowanie Polski świętej — zdążajmy do miłowania ludzkości, a nie na opak! Oto, com rzekł, a wam jak się zdaje?

P a w e ł.

Co ma zdawać? Tak jest i basta! Jeno się człowiekowi wstyd robi i złość bierze, że taki prosty rzeczy nie rozumi i sam się nie domyśli, ino mu ktoś musi wyłożyć!

M a c i e j.

Ale i nie dziwota, te różne gadaniny
na wszystkie strony nom głowy mącą!

P i o t r (ostrzegawczo).

Strzeżcie się ich, radzę wam, to są ga-
daniny fałszywych proroków i co inszego
znaczą, do czego inszego prowadzą. A to
przypominanie Chrystusa — to łapka na
was, jak lep na muchy.

T e k l a.

Moiściewy, a do czego by prowadziły!

SCENA IX.

J a g n a — W o j c i e c h — P i o t r — K a t a r z y n a
— T e k l a — B a r t ł o m i e j — O n u f r y — M a
c i e j — P a w e ł — J ę d r e k — S z y m e k —
J a ś k o — A n t e k — M a r y s i a — B a s i a —
J a g n a.

J a ś k o (wchodząc).

Niech będzie pochwalony Jezus Chry-
stus!

W s z y s c y.

Na wieki wieków, amen!

J a ś k o.

Ja wam odpowiem, pani gospodyni! Prowadzą do zabicia miłości Ojczyzny, a potem do czego? — nietrudno zgadnąć. (z siłą) Ale nie dokażą tego! Miłość ta wrosła każdemu Polakowi, od wieków już, tak głęboko w duszę, że jej i z życiem nie wydrą, jak nie wydarli! Nie zdołają nawet szerzyć tej nauki, jakby chcieli, bo dzięki Bogu, spostrzeglim się wczas i wczas zaczniemy się bronić, otwierać oczy drugim i żywym przykładem pokażemy, jak żyć, pracować dla Polski i budować jej jasną przyszłość!

J ę d r e k (z uniesieniem).

Górá Jasiek! Będiesz naszym naczelnikiem! Jużemy tak ułożyli i w ogień skoczym za tobą! Zgoda?

J a ś k o.

Na życie całe! (ściskają sobie ręce)

M a r y s i a (do Basi).

Widziałaś? Gadał jak generał jaki. Cieszysz się, co?

B a s i a (ścisnąc jej rękę).

Maryś!.. Czy on będzie moim? Boże!..

M a r y s i a.

Cicho! Nie pokazuj tego po sobie. Patrzaj jaki on spokojny.

B a s i a.

Kiej tak trudno... i tak go lubie...

P a w e ł (do Jaśka).

Toćże i z nami przywitaj się, zuchu! Zapomniałeś?

J a s i e k (wita się, kobiety całując w rękę).

Darujcie, taka mnie gorącość wzięła, że straciłem głowę.

M a c i e j.

Pewnoś pod oknem słuchał, abo pod drzwiami? — Czemuś to nie wlaź do środka?

J a ś k o.

Bo nie chciałem przeszkadzać w najciekawszym miejscu rozmowy. (odchodzi do młodych)

T e k l a.

Układny chłopak, aż każdego za serce
chwyta!

P a w e ł.

A najbarzy tem, że dobry, zuch i mą-
dry, jakby jakie szkoły kuńczył.

M a c i e j.

Ba, bida sierota, z niejednego pieca
chleb jadł, obcierał się między ludziami, to
i wi dość.

W o j c i e c h.

Drugi taki rozłajdaczy się, a ten aż
dziw... Co sprawiedliwie, to sprawiedliwie!

P i o t r. (z zadowoleniem do siebie).

Zrozumiałeś teraz? — Bogu dzięki!

J a g n a.

Bo też dobre nasienie jest.

P a w e ł.

Nasienie, jak nasienie — to swoją dro-
gą, czasem i dobrego świat zepsuje, a ten
oparł się, bo tęgi i łebski chłop! — To jest!

S t a r z y.

Prawda!

J a g n a.

Nie wita wy, skąd on rodem?

P i o t r.

Z kresów pono, kajś z pod Wilna —
czy — — Nie pomnę dobrze, ale taki, jak
my. Ojciec zmarł mu przed wojną, matkę
bolszewiki zamęczyli, a on bidak tulał się,
aż tu osiadł.

S t a r z y (z podziwem i współczuciem).
Naprawdę!...

O n u f r y (wchodząc z Antkiem).
Raz, dwa, trzy i jesteśmy, a tego dru-
giego nie mogłem znaleźć. Krórys z mło-
dych skoczy...

W s z y s c y.
Janek już jest!

O n u f r y (udając, że go nie widzi).
Taak? Nie widzę!

J a ś k o (bliżej podchodząc).
Widzicie teraz, panie organisto?

O n u f r y (patrzy z góry, mrużąc oczy).

Widzę, widzę i to, że się śmiejesz przed czasem, a przydałoby się popłakać, aby...

J a s i e k (przerywając naiwnie).

Też przed czasem? A czemu to pan nie płaczesz? (Onufry pogardliwie odwraca się od niego.
— Młodzież śmieje się cicho.)

O n u f r y (do starszych).

No, to już możemy przystąpić do aktu uroczystości. Wszyscy w komplecie, niema więc potrzeby zwlekać, bo jednych denerwuje, drudzy wzdychają do tańca, trzeci... Et! zrzucić już ten kłopot z głowy!

P a w e ł.

Pewno, już można! Jakto tam, Wojciechu?

W o j c i e c h (wstając).

Mnie się ta nie należy w tem rządzić, ino z wieku i sprawiedliwości wam, Piotrze. Powiedzcie jak i co ma być. (siada)
Niech się ta dzieje wola Boska.

P i o t r (wstając).

Kiej tak, to słuchajcie, ludzie! Wszyscy już wiedzą dlaczego i jak będzie ten sąd Boży, nima tedy potrzeby o tem gadać. Po-wiem ino to, że jak przystalim na niego bez przymusu, jak zdalim się na wolę Boską i w nią wierzym — tak zgodzić się z nią musim bez szemrania. Który wygra — jego szczęście, który nie, klótni wszczynać, ani złości w sercu żywić nie może, bo widać ma co innego przeznaczone. Teraz odpuść-ma sobie wszyscy urazy, jeśli mamy jakie do siebie i stawajcie kołem, a wy dwaj we środku! (wszyscy ustawiają się)

B a s i a.

(bliżej widowni, słaniając się prawie i cisnąć serce).

Maryś!.. Maryś... nie mogę... (zasłania twarz)

M a r y s i a (podtrzymując ją).

Nie, nie Basiu... obaczysz.

(Jaśko rzuca pełne miłości spojrzenie Basi i niewidocznie zdejmuje rękawiczkę, wkładając rękę do kieszeni.)

P i o t r (drżącym głosem).

Pokażta teraz ręce!

A n t e k (ściaga rękawiczkę i pokazuje dłoń białą, śmiejąc się triumfująco).

Hy, hy, hy!

J a ś k o.

(wyjmuje rękę z kieszeni, otwiera dłoń, na której połyskują srebrne pieniądze. mówiąc). Pracą bielilem swoją rękę przez tydzień. (przez chwilę grobowa cisza)

M a r y s i a (odrywając dłonie Basi od twarzy).

Patrzaj! patrzaj! nie bój się!

(Onufry wytrzeszcza oczy i chwytając się za kołnierzyk u szyi, jakby go dusił, chce coś mówić, ale nie może.)

J ę d r e k (wielkim głosem, wyrzucając ręce w górę).

Hura! Wygrał Jasiek, Niech żyje! w górę go!

C h ł o p c y (ruszają się).

Niech żyje!!

P i o t r.

Cicho? Czekaście... (do starych) A wy co na to? Wygrał, czy nie?

S t a r z y (stanowczo).

Jakto nie? Wygrał i już!

P a w e ł.

A to ci tęgi chłopak! starszym od niego rozumu się uczyć!

J a ś k o (wzruszony).

To nie z rozumu, ino przy pacierzu wieczorem przyszła mi ta myśl do głowy.

P i o t r (wzruszony).

Widzicie, wszyscy myślelim, że jeno woda i mydło bieli rękę ludzką, a jego Bóg natchnął, że uczciwa i wytrwała praca czynią ją jaśniejszą jeszcze, choć twardą i daje upragnione szczęście!

W o j c i e c h (zbliżając się do Jaśka).

Daruj, synu, nie poznałem się na tobie, skrzywdziłem cie... Ale żałuję i z całego serca Basię ci oddaję! (chce go objąć)

J a ś k o (usuwając mu się do nóg).

Ojcze!.. (tuli mu głowę do kolan)

W o j c i e c h (ocierając oczy).

Daj pokój... Basia, chodź tu, dziecko...
Matka! — Błogosławma im! (błogosławia,
wszyscy wzruszeni)

Chłopcy.

Wiwat Basia i Jaśko! Niech żyją!

Antek (który nie prawie nie pojmował, domyśla się przegranej i krzyczy).

Ja... ja... jakto? co...? Onufer!

Bartłomiej (wściekły).

Ozór ci kołkiem stanął!?

Onufry (odzyskuje mowę i pewność siebie — pcha się gwałtem do środka i podnosząc ręce, krzyczy).

Weto! Weto! nie pozwalam! To oszukaństwo, podstęp, zdrada! Zadrwiono z was, ludzie! Słuchajcie — dowiodę wam tego czarne na białem! (wyciąga papier z kieszeni)

Wszyscy (zaniepokojeni).

Co on? Co to? (skupiają się)

Basia (drżąc do Jaśka).

Czego on chce? boję się...

Jaśko.

Coś złego pewnie — łajdak — wymyślił, ale bądź dobrej myśli, (czule) mojaś jest!

O n u f r y (czytając).

„My niżej podpisani świadkowie: Bartłomiej Krupa i Kuba Bisior, zeznajemy uroczyście, jako że sąd o bielszej ręce nie-sprawiedliwy jest, bo w poniedziałek wieczorem niechcący podsłuchaliśmy rozmowę Piotra Prawdy z Jaśkiem Siłą, w której to obaj układali sobie, że sąd wypadnie tak, jako też i wypadł. Oburzeni na takową nikczemność, świadczymy na piśmie zawczasu, aby pokrzywdzonym otworzyć oczy, a oszukańców ukarać z miejsca.

Wtorek, 10 rano 29 r. wieś Nowoskiba.

Bartłomiej Krupa — Kuba Bisior.

(mówi, wymachując papierem przed oczami słuchających)

Patrzcie, patrzcie, podpisani obaj i Bartłomiej tu obecny zaświadczy głośno!

J a ś k o (chwytając się za głowę).

Boże! co za podłość! Ludzie, nie wierzta mu! Jako żywo zmyślił Judasz!

P i o t r (prostuje się i z błyszczącymi ogniem oczyma, chwyta za kark organistę i cisnąc go do ziemi, mówi groźnie).

Ty... marny gadzie... Odwołasz mi to zaraz!?

Onufry (trzęsąc się i przewracając białkami).

Gwałtu!.. Na pomoc!.. udusi mnie.. Antek!..

(Bartłomiej z Antkiem chwytają za ławy, kobiety cisną się z okrzykami przestachu w kąt, młodzież rusza ku Bartłomiejowi i Antkowi i szamocą się, Marysia tylko nieporuszona.)

Wojciech (gromko).

Hola! Stać mi wszyscy spokojnie! Przeprowadźta Kubę i niech przysięgają!

Marysia (występując śmiało).

Nie trzeba! Ja powiem czyja prawda! (robi się cisza, wszyscy ją otaczają, ona mówi) Organista kłamie w żywe oczy! To świadectwo napisał dzisiaj i tutaj! Jak Wojciechowa poszła do kościoła, zebralim się z dziewczuchami, aby Basi pomóc w robocie. Kiej przyszlim, nie było jej w domu, wymyśliłym tedy nastraszyć ją i pochować jedzenie. Dziewuchy pochowały się z tem w krzaki, a jaostałam i wlażłam pod stół. Wtedy przyszli organista z Krupą, a że nie było nikogo, zaczęli gadać, że ten sąd wydaje im się niesprawiedliwy, że Wojciech, Piotr i Jasiek są w zмовie, że muszą coś knuć paskudnego — i umyślili napisać to fałszy-

we świadectwo, a Kubie dać butelkę wódki za podpis. Potem dobrali się do wódki, zaczęli pić, a jak Basia przyszła i zobaczyła, wyparli się, że to niby swoją przynieśli na wypicie za tego, co wygra. — Tak było! — Widzicie Onufer „Kto pod kim dolki kopie — sam w nie wpada“. — Wyprzyjcie się teraz!

O n u f r y (kręcąc się niespokojnie cały czas — ogląda się teraz ku drzwiom).

Wpadłem po uszy, psiakrew... Trzeba umykać, pókim cały. (głośno) Mdli mnie, powietrza... wody!... (udając słabego, zbliża się do drzwi)

B a r t ł o m i e j (chwytając go za kapotę).

Stój, jucho! i wychloj, czegoś nawarzu! Nie puszczę cię, oho!

A n t e k (doskakując z pięścią).

O... o... o... oddaj moje pieniądze, złodzieju!

S z y m e k.

Dali go! Zapłacim mu za wszystko!

W o j c i e c h (groźnie).

Ani się ważyć! I ty go Bartek puść, zabójstwo myślisz urządzać!? Patrz, toć ci ledwie zipie!

Bartłomiej (puszcza go, ten skacze ku drzwiom i znika, Bartłomiej, rzucając się za nim).

Czekaj psia...

Piotr (przytrzymując go silnie).

Stój, zasie ci od niego! tyś tyle winien, co i on, rozumiesz!?

Bartłomiej (z ponurą zaczepką).

To co? Chceta może na mnie wszystko odbić?

Piotr (łagodnie).

Nie, Bartłomieju, kiej nic złego przez to nie stało się nikomu i prawda wyszła na jaw, nie nasza rzecz sądzić, ani karać. Co inszego chcę rzec: Zrobiłeś źle, uderz się w piersi, my ci też odpuścim i ostańta obaj z synem na wszystkim. Pobawcie się, zapomnicie i będziemy żyć odtąd w zgodzie jak należy. A ten Judasz, jak uciekł, to lepiej i przyjemni bez niego, za karę ino nie zadawajcie się z nim, to dość.

Wojciech (serdecznie).

Posłuchaj dobrej rady, Bartku, i bądźma zgodnymi sąsiadami i zacznijma lepsze życie z młodymi.

W s z y s c y.

Trzymajcie z nami! (Bartłomiej milczy ponuro)

J a ś k o (do Antka serdecznie)..

Nie miej żalu do mnie, Antoś, i nie zazdrość mi szczęścia, kiej mi je Bóg dał za tyle ciężkich lat. Uściśnijmy się jak bracia, weźmy do pracy ramię przy ramieniu i bądźmy przyjaciółmi.

A n t e k (z niedowierzaniem).

Na... naprawdę tego chcesz?

J a ś k o (wyciągając dłonie).

Z całego serca, Antku!

A n t e k.

To... to... dobra! Daj pyska. (ściskają się)

P i o t r (do Bartłomieja).

No cóż, Bartłomieju, — zgoda?

B a r t ł o m i e j (podnosząc oczy ze skrucha).

To wy mi jeszcze sercem płacita? Możeż tak być?..

W s z y s c y (przyjaźnie).

Ha, ha, ha! A cóżeś ty myślał, bracie!?

Bartłomiej (ze łzami).

Żem niewart... (silnie) Ale będę lepszy
wierny! Dajta teraz i wy gęby! (ściskają się)

Jaśko.

Niech żyją nasi ojcowie!

Młodzież.

Niech żyją!!

Wojciech (szybko napełnia kieliszki, podnosząc
jeden w górę).

Kiej taki koniec Pan Bóg nam dał, to
cieszymy się teraz!

Wszyscy (biorąc kieliszki).
Zdrowie narzeczonych! (pija)

Dziewczęta i Chłopcy.
Niech żyją w szczęściu!

Jaśko i Basia (razem).
Bóg zapłać!

Piotr (biorąc drugi kieliszek).
A teraz, bracia, nasze staropolskie „Ko-
chajmy się!”

Wszyscy (pija, rzucając się sobie nawzajem
w objęcia).

Kochajmy się!

Wojciech (do muzyki).

Od ucha, muzykusy! ustąpma miejsca
młodym, bo ledwo już dostać mogą.

Paweł.

Jakto młodym? Abo my tacy starzy,
abo nie potrafim?

Jagna (składając ręce).

Ale przekaśta już co nareszcie!.. Stoi
i stoi wszystko, kiejby na pokaz.

Maciej (podchodząc do niej).

Wywiniema se wprzód, Wojciechowo,
jakto kiejś było — pamiętacie? A potem
młodzi nam pomogą i sprzątniema wszyst-
ko „na pogodę!“

Jędrak (tupiąc z Marysią)

Hej! to rznijta! Niech drzazgi z podło-
gi lecą! (wszyscy ustawiają się do tańca)

Jaśko (z Basią w pierwszej parze, stoją przed muzyką.

Jaśko śpiewa).

Śpiew nr. 6.

Hej, na każdej grzędzie
Miłość, zgoda wszędzie
Niechaj nam króluje
I Polskę buduje

Ogromną!

(muzyka gra — wszyscy tańczą)

J ę d r e k (stając przed muzyką).

A uczciwa praca
Niech skarb Jej wzbogaca
I zdomi w klejnoty:
Wierności i cnoty
nas młodych.

(tańczą)

B a s i a (przed muzyką).

Niechaj dziewczę polskie
Będzie światu wzorem,
A Ojczyźnie własnej
Chlubą i honorem
Największym.

(tańczą)

M a r y s i a.

Bo być dobrą Polką
Cel z największych w świecie,
Jakie Bóg przeznaczył
W tem życiu kobiecie
Wogóle.

(nie tańczą, ale przyśpiewują rzewniej i wolniej, chodząc)

K a t a r z y n a (zatrzymuje się następnie i śpiewa
z powagą wolno).

Ona ma odrodzić
Całe ludzkie plemię
I królestwo Boże
Sprowadzić na ziemię
Niedługo.

(nie chodzą, ale stoją i patrzą w zamyśleniu w dal, cicho i wolno nucąc, muzyka też cicho przygrywa. Podczas tego Piotr, siedząc przy brzegu sceny — mówi rzewnie)

P i o t r.

Hej! jak to się dusza raduje na takie myśli i śpiewki. Jak starcze oko zachodzi łąką szczęsnej radości, że doczekało i widzi, jak ten kwiat narodu chrobrego — młódź nasza droga — zabiera się tak cudnie do zbożnej pracy w wolnej już Ojczyźnie... Idź.. idź, młodzieży, przodem, idź wytrwale i buduj tę, jak słońce promienną, przyszłość, boś jej kamieniem węgielnym, bo w tobie największa siła — to wiosna lat waszych... I pamiętaj o tem, że kiej ich ziemia-macierz przeżywa wiele — wy jedną jedyną jeno raz i raz straconą na marne, bez celu — (mocno) nie wróci! (cicho, wolno) nie wróci...

(Zasłona spada.)

KONIEC